

Obłąkane wiersze Rafała Wojaczka

Florian Śmieja



Rafał Wojaczek, fot. Instytut Mikołowski.

We Wrocławiu nieraz chodziłem na sąsiadujący nieomal z Hotelem Asystenta, w którym mieszkałem, cmentarz św. Wawrzyńca, aby w jego ciszy pomedytować nad granitowym głazem mogiły Rafała Wojaczka.

Nie brak wśród poetów postaci tragicznych, fatalnych, ofiar ciemnego losu. Dawniej bywała nim choroba podcinająca młode skrzydła, na którą nie znano lekarstwa. Później zdarzały się wypadki, gdy artyści śmierć sobie zadawali sami, nieraz z premedytacją, dzieląc się swoimi zamiarami z publicznością, orkiestrując w pewnym sensie swoją śmierć na oczach wielbicieli i współtworząc jeszcze za życia własny mit. Do takich postaci zaliczymy Rafała Wojaczka (1945-71).

Urodził się w Mikołowie pod Katowicami w 1945 roku w rodzinie nauczycieli. Mieszkanie dzięki pietyzmowi lokalnych miłośników literatury, jest dziś centrum kultury, gdzie odbywają się odczyty, wieczory autorskie i wystawy. Szkołę średnią ukończył w Kędzierzynie, zapisał się na filologię polską w Krakowie, ale zrezygnował po jednym semestrze. Zamieszkał we Wrocławiu próbując utrzymać się z pióra. W 1966 roku ożenił się z pielęgniarką, którą poznał w klinice psychiatrycznej. Miał z nią córkę Dagmarę, lecz małżeństwo się wnet rozpadło. Wojacek zmarł tragicznie 11 maja 1971 roku we Wrocławiu.

Piotr Kuncewicz w historii poezji ostatnich dekad dodaje:

Właściwie samouk, obarczony jakimiś pokrętnościami psychicznymi, bardzo zdolny i przystojny, a na dodatek od początku cieszący się literackim powodzeniem. Chuligan i lump, zdeklarowany alkoholik, awanturnik popadający w konflikty z prawem, pacjent szpitala psychiatrycznego, a równocześnie błyskotliwy talent i osobowość mistyczna, pogrążona w rozpamiętywaniu mroków świata i nieuchronności śmierci.

Ileż to razy słyszymy ostrzeżenie, by nie łączyć twórczości z życiorysem twórcy, że to są dwie różne sprawy, że dzieło oddziela się od swojego autora. A przecież sam Wojacek napisze:

...Poetą się jest. Jest się nim żyjąc. Zaś bywa się czasem skrybą, czyli grafomanem. Bywa się nim wtedy, kiedy braknie siły, by dźwigać ciężar swego życia. Wtedy ucieka się do ogródka sztucznym sposobem ogrodzonego i sadi się smętne kwiatki na schludnej grządce...

Zdaje się też mówić to samo w dystychu: „Nie myślą o Bogu,/tylko szukają sposobu!”

W autobiograficznym poemacie prozą „Sanatorium” Wojacek rozszczepiał swojego protagonistę, którym był sam, na dwie osoby: przedstawianego in actu Sobeckiego (pamiętamy, że takim nazwiskiem, nazwiskiem panińskim matki, Wojacek się nieraz podpisywał) oraz Piotra, jego krytyczne alter ego (imię trzeźwego inspicjenta nie bez kozery jest tutaj imieniem starszego brata). Pierwsza z nich to Rafał Wojacek, który działał, druga – rzeczowy obserwator jego postępowania.

Edward, ojciec Rafała, słowami syna, „miał wiele z jego powodu zmartwień”. Pochodzący z chłopskiej rodziny ojciec ciężką harówką zdobył wykształcenie, był później powstańcem śląskim, kacetowcem i nauczycielem licealnym. Z niepokojem obserwował poczynania syna, z troską tym głębszą, że sam w młodości miał okres trudny, z którego się jednak wydobył. Wychodził z pokoju, kiedy Rafał umyślnie przechwalał się swoim trybem życia. Ale materialnie mu pomagał i jeździł do niego, choć często ich spotkania kończyły się sprzeczką.

Rafał (trzeźwo myślący Piotr w tekście) zapisze: „A przecież obaj dążyli do spotkań i przez pewien czas wspólnej obecności umieli cieszyć się nią”. Potem jednak wybuchały zrozumiałe scysje. Ojciec wyjeżdżał rozdrażniony do swojej szkoły, syn, słowami Wojaczka, „do swej literatury, do swoich obłąkanych wierszy...” I przyznawał, że każdemu szło o obowiązek, że obaj mieli rację. Syn miał rosnące poczucie winy. Ojciec natomiast często czytał utwory syna szukając w nich dowodu na patologię, ale był również doskonałym krytykiem tych wierszy, choć ogarniał go strach widząc, dokąd to wszystko mogło prowadzić. Kiedy z czasem dochody ojca stały się skromniejsze, a widmo starości kazało mu oszczędzać, skończył hojne dotacje dla syna, którego reakcję, pewne zniechęcenie w miejsce dawnej pasji, poczytywał za wychodzenie z nieszczęśliwej sytuacji psychicznej.

Jeżeli tak układały mu się stosunki z ojcem, a nie pomagała im wcale lektura pamiętników Kafki, to jakie miał stosunki z matką? Listy, które do niej pisał, były jedną serią komplementów i prośb o paczki. Ale w innym tekście Wojacek-Piotr opowiada nonszalancko o zachowaniu się Wojaczka-Sobeckiego względem matki.

O nieszczęsna matko jego, która mu zawsze, kiedy tylko sposobną ku temu znalazła okazję, powtarzałaś: Synku, pamiętaj, szanuj się! A miałaś na myśli zarówno zdrowie jego, o które nie dbał ku wielkiemu twemu utrapieniu, a także

nadwerężeniu finansowemu, jako że będąc młodym poetą nie korzystał z dobrodziejstwa ubezpieczenia społecznego i za lekarstwa, jakich sobie żądał na chorobę, musiałaś płacić stuprocentową należność; a przede wszystkim, powiadając tak do niego, myślałaś o jego opinii u ludzi, którą szargał sobie niebawem. I oto za to, że żadnych wymagań w stosunku do niego nie miałaś poza tym jednym, aby czasem doniósł ci o sobie; za to, że dbałaś, by ubrany chodził jak człowiek; że baczyłaś, by miał się w co ubrać ciepło, by skarpetki miał całe, by gacie miał czyste, by nie chodził w dziurawych butach, by rękawiczki miał na zimę oraz szalik ciepły, by koszule miał choć dwie na zmianę, by miał płaszczyk odpowiedni na chłody, by chustek do nosa stosowną zawsze miał ilość, by spodnie mu nie przeświecały na tyłku, by marynarka była nie przetarta na łokciach, by sweter miał i piżamę i papucie; za to, że mu paczkę co tydzień posyłałaś, by mu nie brakowało kawy, herbaty, cukru i papierosów, by masła używał, by sera podjadł, by kielbasą się posilił; za to, że o pościel jego dbałaś, o czysty ręcznik i o to, by mu mydła nie zabrakło oraz pasty do zębów; za to, że troszczyłaś się, czy ma dobrą szczoteczkę do tychże, grzebień do włosów i wodę kolońską dla powabu; za to, że dbałaś, by mu papierosa do pisarskich potrzeb nie zabrakło; za to, że żebrałaś o ten papier u znajomych maszynistek; za to, że mu dostarczałaś ołówków, gum, notesów, zeszytów, spinaczy, kleju i wszelkich innych przyborów kancelaryjnych; za to, że opłacałaś za niego mieszkanie, że grzywny płaciłaś tak, by ojciec się nie dowiedział, że pokrywałaś sumy nakazów płatniczych kolejowych i komunalnych rozumiejąc, że musiał jechać, choć nie miał pieniędzy; że wykupywałaś go z aresztu, że comiesięczną sumę alimentów na córkę, której znać nie chciał, posyłałaś; że pisałaś do niego listy zawsze mając dlań słowa pociechy w trudnym życiu jego; za to, że byłaś najlepszą matką mimo jego oszczerstw, jakie na ciebie ciskał, jakie odważał się, sprytnie ująwszy w wierszowaną formę, cynicznie podawał do publicznej wiadomości na ból twój i rozgoryczenie; za to, że mu nigdy bólu swego i rozgoryczenia nie okazywałaś, okazując jedynie troskę o to, by mu się jak najlepiej wiodło w niewdzięcznej pracy literackiej; za to że go do uzdrowisk wysyłałaś, opłacając pobyt; że go zabierałaś do Kazimierza i Kołobrzegu, do Połczyna i Iwonicza, by odetchnął, by sił nabrał, a on się na wstyd i pośmiewisko narażał, w awantury się wdając i wszczynając burdy; za to, że był twoim synkiem najukochańszym, najlepszym, zawsze oczekiwanym, hołubionym, obsługiwany; za to wszystko tak ci się odwdzięcza, szargając nazwisko i dobre imię matki Polki,

w podejrzenie podając twoją troskę, twój trud włożony w jego wychowanie, w kształtowanie jego obywatelskiej postawy, zaufanie podważając w twoje poczucie obowiązku i w twoją miłość matczyną, jedyną, cierpliwą, wierną i wieczną.

W jednym z najczęściej cytowanych wierszy Wojaczka pojawiły się splecione razem ważne w jego poezji postacie Matki Boskiej, Polski i matki:

Matka mądra jak wieża kościoła

Matka większa niż sam Rzymski Kościół

Matka długa jak transsyberyjska

Kolej i jak Sahara szeroka

I pobożna jak partyjny dziennik

Matka piękna niczym straż pożarna

I cierpliwa jak oficer śledczy

i bolesna jak gdyby w położu

I prawdziwa jak gumowa pałka

Matka dobra jak piwo żywieckie

Piersi matki dwie pobożne setki

I troskliwa jakby bufetowa

Matka boska jak Królowa Polski

Matka cudza jak Królowa Polski

Miał starszego o 12 lat brata. Podobnie jak o matce ironicznie, Wojaczek opisuje go w tymże tekście raczej kąśliwie:

Pan inżynier, odpowiedzialny pracownik wojewódzkiego urzędu, mający pod swoją pieczę sprawę czystości powietrza, którym oddychają obywatele, mąż żony swej Elżbiety, pracownicy naukowej, zajmującej się zagadnieniem czystości wód, w których ryby żyją na pożytek obywatelom; pan inżynier, właściciel samochodu marki trabant, dbający o niego i myjący go co sobotę przy użyciu gąbki, a także specjalnego szamponu dla samochodów, dbający także o czystość i porządek w mieszkaniu, przy czym dbałość ta z czasem przerodziła się w chwalebny manię o podłożu paranoidalnym, przez co ani jeden najmniejszy pyłek nie miał prawa bytu na rozległych i znakomicie wypolerowanych płaszczyznach parkietu; pan inżynier, prowadzący tryb życia rozważny, w ten sposób, by każda chwila procentowała godziwą gotowizną, nie mogący poświęcać zbyt wiele czasu lekturze, gdyż zmuszony zarabiać na samochód, na benzynę do niego, na dom, na reprezentację, wolne chwile, jakich niezmiernie miał mało, poświęcający pracy w przydomowym ogródku, hodowaniu truskawek, pietruszki i róż;[...] Piotr nocą przechodząc pod oknami domu, w którym brat jego odpoczywał po znoju dnia powszedniego, dla bandyckiej i wysoce niespołecznej fantazji budził śpiącego oraz żonę jego, kamieniami tłukąc szyby w oknach...więc pan inżynier ze snu i tak niestety niespokojnego wyrywany tak brutalnie ruszał w pościg za złoczyńcą, co było o tyle łatwe, że Piotr wcale nie zamierzał uciekać, najczęściej z powodu swego stanu nie zdający sobie sprawy z zaistniałego faktu....

Był jeszcze młodszy brat, aktor, Andrzej. Trzeźwy młodszy brat, wedle określenia poety. Pamięta on swojego trudnego brata z niechęcią. Bo był źródłem niekończących się cierpień rodziny, źródłem różnych wieści, autorem szokujących obrazów w wierszach. Nappełniał bezradnością i lękiem o przyszłość. Rafał, owszem, cierpiał, ale i swoim dostarczał cierpień, więc w końcu podziw dla artysty ustępował złości wobec zarozumiałego sprawcy nieszczęść własnych i cudzych.

W liście do Stefanii Cisek, dopiero niedawno ujawnionym we fragmentach, Wojaczek się spowiada:

...Doszło do tego, że boję się siebie samego. Nie wiem jak się w pewnych sytuacjach zachowam. Wtedy - 10 września (1964) - wziąłem żyłkę, przecięłem tętnicę i odkręciłem kurki gazowe. I obudziłem się na stole operacyjnym... Buduję

więc na nowo gmach złudzeń – ale buduję na piasku, nędzne to podwaliny.

To jest okropny stan – świadomość, że w każdej chwili można ponownie chwycić żylatkę. Teraz wychodzą na jaw idiotyzmy teorii o rzekomej „wolności” człowieka. Trzeba mieć zawsze jakieś ponad subiektywne, nadrzędne normy – trzeba mieć cel!

Tak jak w swoim dzienniku-pamiętniku „Sanatorium”, Wojacek czasem pisał wiersze sobie je dedykując, które mówiły o tzw normalnym życiu, którego unikał. Oto fragment jednego z nich, gdzie wylicza swoje możliwości:

Mogąc mieć swoją gwiazdę i manierę własną

I przy pewnych dochodach mieć jeszcze dość czasu

Aby kochać miłością w dobrym tonie smutną

Ale pożywną, jakąś dziewczynę niegłupią

Studentkę filologii albo medycyny

Zamożną z domu, ładną, z gustem oraz czystą –

Ty mogłeś być poetą. Ale ciągle 'nie'

Uparcie powtarzając dziś nie wiesz, kimś jest!



Rafał Wojaczek, mat. arch.

Tymoteusz Karpowicz, który Wojaczka znał i czuwał nad jego wczesnymi poetyckimi krokami, we wstępie do „Utworów zebranych” wydanych przez Ossolineum wyjaśnia, że życiowy wybór Wojaczka był osobisty i trzeźwy, że nie było żadnych przyczyn, by eksperymentować ze zdrowiem, wybierać tradycję lumpa ani alkoholika. Jego szaleństwo skierowane było w niego samego, pośrednio w rodzinę. To, co zaczęło się jako chłopięca zgrywa, z czasem stało się grą na serio i przeznaczeniem, z którego nie zdołał się już wywikłać.

Wrodzona większa wrażliwość sztucznie podsycana, pozycja wybijającego się młodego poety, sprawiły, że Wojaczek uzyskał status zbuntowanego artysty obracającego się na pograniczu choroby psychicznej. Nie godząc się na żaden z dostępnych światów, postanowił stworzyć sobie swój własny.

W wierszu na Nowy Rok 1970 napisał m.in.

Rok łagodnego światła

Wzrok zdolny cieszyć się

Słuch cierpliwy i chłonny

Głos jedyne Boga

Dłoń kochanej kobiety

....

Chleb z zasłużonej mąki

Schron bezpiecznego domu

Gość poproszony w dom

...

Noc spokojna

Sen co przynosi sny

Sny a nie koszmary

Świt nieokrutny

Strach opanowany

Gest odmierzony

Puls równy

...

Śmiech niehisteryczny

Smak subtelny

...

Mróz nieuciągliwy

Piec ciepły

Łyk dobrej wódki

Woń róży

...

Cel wytyczony

śmierć pobożna

Nie dla mnie.

Liczyć chciał tylko na siebie, na swoje ciało i na swój organizm. Do podstawowych desygnatów wcześniej wziął śmierć obok poezji, miłości i ojczyzny, które zresztą ambiwalentnie się u niego łączą. Pragnąc siebie potwierdzić, poeta zadaje sobie autentyczny ból. Gnębi go depresja. Miewa kaca, wymiotuje. Te wszystkie stany umyślnie spowodowane na siebie stały się w końcu kontrolowanym szaleństwem. Wojaczek ćwiczy wolę przeciwko sobie, sam padnie jej ofiarą. Gotowość samozniszczenia obnosi wśród znajomych okaleczając się. Grał z całą świadomością tworząc legendę i chciał, by świat mu się przyglądał z uwagą. Sztucznie głoduje, w próbie uratowania wzniosłości poezji poświęca jej kobietę, brnie przez wszystkie upadki fizyczne i moralne, destrukcję i poniżenie. A to wszystko zdawał się robić z lęku o zatrącenie tożsamości, gdyż ważna dlań była jedynie własna inność.

Atakowanie, jak byśmy powiedzieli, wszystkich świętości było dlań badaniem ludzkiej wytrzymałości. Roił sobie, że właśnie upadek i poniżenie prowadzą do oczyszczenia. Otoczenie znało go jako osobnika psychicznie obolałego, z kompleksami, niezdolnego do podjęcia normalnej pracy. W Krakowie postawiono mu diagnozę, która go, jego zdaniem, piętnowała. Określono go jako psychopatę z tendencjami schizofrenicznymi. Spędził pewien okres czasu we wrocławskiej klinice, miał przed samą śmiercią być badany przez wybitnego specjalistę.

Od czasu do czasu miał przebliski rzeczywistości i robił nieśmiałe próby, by się

ratować. W liście do Stefanii Cisek napisał posługuje się cytatem z Kafki: „Weź mnie, weź mnie, splot błazeństwa i bólu”. Ale także rozumiał, że jest już dla niego za późno:

*Zjechałem tu nie w porę
sezon jeszcze nie otwarty
a już miejscowi mówią
że tu się nic nie stanie.*

Złakniony sukcesu został przez krytyka nazbyt wysoko postawiony, tak że jego chorobliwy egoizm przestał przyjmować przestrogi, nastawiony już tylko na zwycięstwa. Dopiero po zgonie Wojaczka Karpowicz ostrzegał, że śmierć poznajemy nie umierając, lecz żyjąc. Ale było za późno.

A przecież poeta sygnalizował swoje chorobliwe zauroczenie śmiercią w wielu kompozycjach. Tak np. kończy wiersz „List do nieznanego poety” , wiersz jak najbardziej autobiograficzny.

*Pańską twierdzą i wygnaniem jest ten pokój
Wież ponad dobrem złem i społeczeństwem
Czy pan nigdy nie próbuje z niego uciec?
Z rozpaczliwych czterech kątów Piąty: śmierć*

Kilka lat sukcesu mieszanego z rozpasaniem zdobyło mu legendę ochoczo przyjmowaną przez młodych. Krytycy podzielili się na hagiografów i oskarżycieli. Dostrzegali jego wielki egocentryzm, ale i zadziwiające widzenie świata „jakby od samego środka bebeczów psychicznych”; zdumiewano się, że ze zwykłych słów potrafił pokazać świat w zupełnie innych kolorach, że z organicznego plugastwa zrobił coś urzekającego, nie rozumiano, jak tak młody człowiek mógł widzieć rzeczy ekstremalne, brzydotę wyrażał w rygorach stylistyki i mistrzowsko sprawnego

języka. Te cechy zauważył H.Worcell, który prezesował wrocławskim pisarzom. Do największych promotorów Wojaczka, oprócz już wymienionego Tymoteusza Karpowicza, należał Bogusław Kierc, a pozytywnie wyraża się o nim m.in. Jacek Łukasiewicz, który pisząc po dwudziestu latach nazwał jego poezję „rygorystyczną i swoiście pełną”. Z tym chętnie się zgodzę. Trudniej natomiast przychylić się do jego opinii, że „czyta się te wiersze z radością”. Zdumiewający to dla mnie kwalifikator uczucia powstającego przy lekturze tych osobliwych mimo wszystko wierszy.

W mojej opinii, prestidigitatorskie zręczności Karpowicza i Kierca niewiele czytelnikowi pomagają. Erudycyjne fajerwerki nie oświetlają zadowalającą dokonań Wojaczka, usiłują go raczej dowartościować przez wymyślne asocjacje i całą ekwilibrystykę domysłów. W ostatecznym rozrachunku te wszystkie strategie nie potrafiły go, tak sędzę, z wydumania wynieść na jakiś grunt obiektywnie rozpoznawalny. Wiemy, że ogromnie pracował nad swoimi tekstami, że miał dziesiątki wersji, że niedługo przed śmiercią oświadczył, że jego dzieło poetyckie jest kompletne. Niemniej wątpliwe jest dla mnie, czy wygrał stawkę o poezję, choć spalił się w jej służbie.

Wielu czytelników widzi w tej poezji głównie figury stylistyczne, chęć epatowania obscenami, pozę eschatologiczną. Anonimowy recenzent Wydawnictwa Literackiego z Krakowa odrzucając proponowany przez Wojaczka do druku zestaw wierszy napisał m.in.:

Są to wiersze dla socjologa raczej niż dla czytelników. Jeżeli nawet istnieje środowisko dla odbioru tego rodzaju 'poezji', należy otoczyć je opieką i wychowywać. Jestem przeciwko nobilitowaniu chuligańskiej hysterii do rangi sztuki... Obsesje były, są i będą motorem wielu utworów, nie można jednak tolerować wulgarności i szokowania ekshibicjonizmem.

Inny krytyk pisząc o obsesyjnych motywach w końcu załamuje ręce:

Ale od tych wszystkich kroczy, jelit, odbytów, glist, wymiotów, penisów aż tu gęsto.

Czy więc sama sprawność formalna może ratować jego twórczość? Czy taka

krańcowość uprawnia do miejsca w literaturze? Czy te głodówki, pijane ekscesy, wyskakiwanie przez szybę, kaleczenie się umyślne otrzymały ekwiwalenty słowne w myśl, że życie to sztuka? Stąd to *votum separatum* krakowskiego krytyka. Tragiczne więc nieporozumienie, nieszczęśliwa aberracja, koszmar, obłąd, a mniej sztuka.

Nie obywa się przy tym bez paradoksów. Większość krytyków podnosi cnotę pisarską Wojaczka, tj. bezpośredniość wyrazu, autentyczność, szczerość, spontaniczność. Niczego podobnego jednak w niej nie znajdujemy. Materiał jego jest wybitnie literacki i przeszedł przez żmudną obróbkę fachowca.

Życie jawiło mu się jako maska śmierci, z którą najpierw igrał, jak Don Juan ze statua komentatora, a kiedy ona w końcu rzeczywiście zapukała do jego bramy, wpuścił ją, bo już mu honor nie pozwalał wycofać się ze sprawy. Wojaczek zapowiedziawszy swoje odejście, czekał na odpowiedni moment, aby targać się na swoje życie, i to nie w chwili nieopanowania, ale w chwili wyważonej, i konsekwentnie zamiar swój zrealizował. Odratowany, gdy próbował się powiesić (w jednym z wczesnych wierszy szukał swojej szubienicy), otrął się środkami nasennymi, których pełny spis pozostawił na skrawku papieru donoszącym o samobójczej śmierci Borowskiego. Ta śmierć miała go zniszczyć, ale także unieśmiertelnić.

Mniej heroicznie natomiast brzmi czterowiersz Rimbauda zakreślony w ramkę, z adnotacją Wojaczka na marginesie „dobre jako przestroga”, znaleziony w egzemplarzu jego lektury:

*Młodości próżniaczej
w jarzmo nikt nie chwycił,
przez łatwość wybaczeń
zmarnowałem życie.*

Uparta choroba prowadziła Wojaczka do samozagłady. Mając niepospolity dar słowa szukał w literaturze, w poezji ratunku dla siebie. Posiadał często klarowną świadomość inności, potrafił jednak doceniać wartości przez siebie z różną gwałtownością negowane i chętnie z nich korzystał.

Brutalne wyuzdanie i częsty sadyzm wskazują, że padł ofiarą swoich ciemnych demonów: wzywał je, dał im się opętać, a wciągnięty do ostatecznej rozgrywki, w końcu jej nie sprostął. Pozostanie on dla nas niepojętym, zdumiewającym znakiem.

Z Dzikowa do Montrealu. Powojenne losy rodu Tarnowskich.



Marcin hr Tarnowski, Montreal 2008 r., fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Marcin Tarnowski

Urodziłem się w Dzikowie w 1935 roku. W 1939 roku wyjechaliśmy na parę tygodni do Klemensowa, do Zamoyskich – rodziny mojej matki. Gdy zaczęła się wojna, przypadkiem okazało się, że jeden z wysokich rangą generałów niemieckich w Zamościu, dobrze znał rodzinę mojego dziadka. Dał nam więc autobus z eskortą i zostaliśmy ewakuowani do Dzikowa. Dostaliśmy do użytku niewielką część zamku, resztę zajęli Niemcy. W Dzikowie mieszkaliśmy do 1944 roku. Koniec wojny przeżyliśmy w Ojcowie pod Krakowem.

Gdy skończyła się wojna wszędzie panował bałagan, nie wiadomo było gdzie szukać rodziny, nie znaliśmy ich losów. Nie wiedzieliśmy, że nasz ojciec w międzyczasie przeszedł na piechotę prawie pół Niemiec, bo gdy front się przesuwał, przerzucano jeńców z obozów od obozu do obozu, coraz bardziej na zachód. Ale po wstąpieniu do I dywizji pancерnej gen. Maczka, zaczął nas szukać. Przypuszczaliśmy, że ojciec będzie nas szukał w okolicach Dzikowa. Z Ojcowia więc na jesieni 1945 roku przenieśliśmy się do Sandomierza. Nie mogliśmy wrócić do Dzikowa, nie było nam wolno. Mieszkaliśmy więc w jakimś domu w Sandomierzu, gdzie dokładnie, nie pamiętam, ale wiem, że budynek przylegał do kościoła św. Jakuba. Suterrenami można było przejść do zakrystii. Z naszego domu widać było w dole Wisłę, hen daleko, daleko. Wyobrażaliśmy sobie, że widzimy Dzików, bo pamiętaliśmy, jak w odwrotną stronę z zamkowej wieży widać było Sandomierz. W Sandomierzu zaczęliśmy chodzić do szkoły. Co jakiś czas chłopcy po kryjomu podrzucali nam prowiant z majątku.

Pewnego dnia dostaliśmy wiadomość, że ojciec nie wraca do Polski. Przenieśliśmy się więc do Krakowa, a stamtąd matka próbowała na wszelkie sposoby zorganizować nam wyjazd. Wreszcie złapała „zielony transport”. Ja wówczas zachorowałem na odrę, musieliśmy się więc podzielić. Najpierw pojechało starsze rodzeństwo, Maria i Jan (w marcu 1946 r.), a potem mama ze mną i młodszym bratem – Pawłem (w maju). Z Krakowa dostaliśmy się przez Cieszyn i Pragę do Norymbergi. Tam przyjechał po nas kolega ojca i zabrał do Meppen. Mieszkaliśmy razem parę miesięcy, a potem na 5 lat przenieśliśmy się do Brukseli.

Znów chodziliśmy do szkoły, ale mnie coś nie szło z językiem flamandzkim, wciąż oblewałem i musiałem być przenoszony. W Belgii mój ojciec miał dużo znajomych, kończył Uniwersytet pod Brukselą, wydawało się więc, że będziemy mogli tam sobie

ułożyć życie. Ale w tych czasach na przełomie lat 40. i 50. w Europie Zachodniej bardzo trudno było o pracę, a szczególnie dla młodych przyszłość nie rysowała się optymistycznie. Dlatego ojciec z matką zdecydowali, że lepiej się przenieść tam, gdzie młodzi będą mieli jakieś perspektywy. Wybrali Kanadę, bo tam łatwiej można było dostać wizę.

Podróż odbywała się małymi statkami, które przewoziły dawniej wojsko, a teraz zostały przystosowane do przewozu emigrantów. Podróż trzeba było odpracować, pamiętam, że my pracowaliśmy w kuchni. Wylądowaliśmy w Halifaxie w Nowej Szkocji. Mieliśmy dalej jechać na zachód Kanady pracować na farmie (ojciec przez jakiś czas pracował na farmie i zbierał kartofle). Ale w końcu zatrzymaliśmy się w Montrealu. Rodzice mieli tu znajomych i krewnych, łatwiej było więc jakoś się zaczepić i zacząć życie w nowym miejscu. Był tu krewny Władzio Tyszkiewicz, u którego zatrzymaliśmy się na parę dni, potem była P. Maria Pinińska oraz P. Dresher, którzy bardzo pomagali ojcu.



Dwóch braci, Jan A. (z lewej) i Paweł (z prawej) Tarnowscy na tle kominka w Wielkiej Sali zamku z obrazem Dziadka Zdzisława hr. Tarnowskiego wiszący nad nimi, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Znów zaczęliśmy chodzić do szkoły. Ja i mój młodszy brat Paweł poszliśmy od razu

do college'u. Starsze rodzeństwo musiało pójść do pracy. Rodzice natomiast pracy nie mogli znaleźć. Gdy ojciec powiedział, że ma dwa dyplomy (szkołę handlową i rolnictwo), to człowiek, który go przyjmował, podniósł się z miejsca i oznajmił – ja panu mojej posady nie oddam. Tak więc nie tylko, że było mało miejsc pracy, to trzeba tu było mieć lokalne przygotowanie, znać realia itd. Ojciec więc się zdecydował na jakąkolwiek pracę i poszedł sprzedawać dywany, w dużym sklepie, który wówczas nazywał się Morgan. I sprzedawał je aż do emerytury, na którą przeszedł kilkanaście lat później.

Matka nauczyła się kreślić. Przez jakiś czas pracowała w fabryce samolotów jako kreślarka. Potem pracowała w biurze inżynierskim, które, o ile dobrze pamiętam, robiło m. in. przeróbkę Polskiego Konsulatu w Montrealu. No, a my, młodsi, raz się uczyliśmy, raz nie, zmienialiśmy szkoły, różnie to bywało. Ja nawet w pewnym momencie uciekłem z domu.

Starszy brat Jaś pojechał na zachód Kanady i tam spotkał się z wujem Czartoryskim, mężem siostry mojej matki Anny Zamojskiej. I razem pojechali „szukać skarbów”. Od 1953 czy 54 roku poszukiwał najpierw uranu, potem złota, potem nafty. Pracował w Kanadzie i poza nią – w Stanach, Ameryce Południowej, w Afryce, Azji, nawet w Nepalu. Nadzorował całe ekipy. Był od tego ekspertem. Ożenił się z Rumunką z pochodzenia, ma trzy córki, które założyły swoje rodziny. W latach 90., gdy zmienił się ustrój w Polsce, wrócił do Polski i zamieszkał w Warszawie. Zajął się walką o scalenie dzikowskich zbiorów, zaczął wytaczać sprawy i porządkować rodzinne dziedzictwo. W międzyczasie urodziły mu się dwie następne córki i po raz drugi się ożenił, z prawniczką.

Moja starsza siostra pierwsza z nas wyszła za mąż za Zdzisława Kryzana, adwokata z poznańskich okolic. Poznali się jeszcze w Belgii, potem on przyjechał do niej do Kanady.



Jan A. Tarnowski z siostrą Marią Kryzan na tle szaf archiwum, w najstarszej części zamku, która się nie spaliła w czasie pożaru w 1927 r, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Mój najmłodszy brat Paweł ożenił się z Kanadyjką, Yolandą i teraz mieszkają w Ottawie. Mają dwoje dzieci, i obydwójce są na emeryturze.

Ja, po skończeniu college'u poszedłem na Uniwersytet. Zrobiłem to dla ojca, bo koniecznie chciał, żebym został inżynierem. Ale mnie to zupełnie nie pasowało. Zaliczyłem jeden rok i poszedłem do lotnictwa. Marzyło mi się zostać pilotem, ale zostałem nawigatorem. No i spędziłem część życia w lotnictwie, latałem w tę i z powrotem po Kanadzie, po Stanach. Mam ponad 4 tysiące godzin zaliczonych w powietrzu.

W międzyczasie się ożeniłem. Byłem jedynym z braci, który ożenił się z Polką. Elżbieta była córką majora Rodziewicz, zamordowanego w Starobielsku. Urodziła się w 1940 roku i ojca nigdy nie poznała. Zabawne, bo jej ojciec i mój ojciec, byli przed wojną w tym samym 8 Pułku Ułanów księcia Józefa Poniatowskiego. Nie znali się bezpośrednio, ale wiedzieli o sobie. Mój ojciec był rezerwistą, a jej ojciec w służbie czynnej.

Mamy czwórkę dzieci – córkę i trzech synów. Po 11-tu latach coś jednak nie grało między nami i rozeszliśmy się. Od tego czasu, oboje żyjemy samotnie, widując się

często razem z dziećmi i dzięki Bogu teraz jesteśmy w bardzo dobrej komitywie.

Córka Krysia mieszka w Stanach, ma trzech synów. Na zjeździe w Dzikowie w 2000 roku była Elżbieta z trzema synami. Synowie założyli rodziny, mają też dzieci. Tak więc mam dziewięcioro wnucząt, z przewagą chłopców.

Czy któreś z dzieci chce się włączyć w odzyskanie Dzikowa? Nie wiem.

Może najbardziej Michał, mój średni syn, który mieszka pod Ottawą. On pierwszy z braci się ożenił, tak więc jego dzieci są już bardziej samodzielne. Jego żona, mimo, że nie jest Polką, była w Polsce i pozytywnie odbiera naszą tradycję. Dzieci także. Michał zajmuje się stroną internetową Związku Rodu Tarnowskich. Wraz ze swoją matką, Elżbietą pojechał na pogrzeb swojej babki, Róży do Dzikowa w 2005 roku. Bardzo był całą ceremonią przejęty, a szczególnie sprowadzeniem prochów Babci do krypty Tarnowskich pod kościołem oo. Dominikanów w Tarnobrzegu .

Dzieci mówią po polsku, ale żadne nie jest w polskim środowisku. Próbuję dzieciom tłumaczyć, przekazać wiedzę o rodzinie, założyliśmy Związek i mam więc nadzieję, że coś z tego wyniknie. Ale co dalej będzie? Czas pokaże.



Obraz Matki Boskiej Dzikowskiej w kościele oo Dominikanów ufundowanym w XVII w.przez Tarnowskich w Tarnobrzegu.

Rozmowa odbyła się w 2008 roku. Rozmawiała Joanna Sokołowska-Gwizdka. Marcin Tarnowski zmarł w 2009 roku.

Pisarz nie jest właścicielem piękna



Christian Teodorescu, fot. mat. prasowe.

Rozmowa z rumuńskim pisarzem Cristianem Teodoresc o tragikomizmie w życiu i literaturze oraz o utraczonej pamięci i jej odzyskiwaniu.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Pańska książka "Medgidia miasto u kresu" zrobiła na mnie wielkie wrażenie i choć czytałam ją przed rokiem, utkwiły mi w pamięci liczne obrazy. Jednym z nich są papryczki Januszka – jednego z Pańskich bohaterów. Po przeczytaniu tej historii, papryczki już na zawsze będą mi się kojarzyć z tą

opowieścią. Proszę mi przy okazji zdradzić, czy Januszek jest postacią fikcyjną, czy ma swój pierwowzór i czy rzeczywiście zmarł po spożyciu pięćdziesięciu ostrych papryk...

Cristian Teodorescu: Prawdziwy Januszek wielokrotnie zjadał taką ilość papryczek i wygrywał zakłady, ale w tym przypadku jednak naprawdę stracił życie.

BLC: Dla mnie ta historia jest – jak w przypadku innych Pana bohaterów – przykładem ironii losu. Kiedy spodziewamy się (a może pragniemy) jakiegoś pozytywnego zakończenia, sprawy przybierają zgoła tragiczny obrót.

CT: A czy w ogóle możliwe jest życie inne niż tragikomiczne..?

BLC: Ale dla starożytnych Greków było tragiczne.

CT: To prawda, że Grecy nie mieszały tragizmu z komizmem. Prawdopodobnie jedynym zwornikiem był chór antyczny, który komentował wydarzenia na różne sposoby. Moim zdaniem, ten tragikomizm jest naszą daniną, którą musimy oddać jedynemu Bogu, który się ostał w naszej kulturze. W starożytności bogów było wielu. W "Imieniu róży" Umberto Eco występuje postać, która nie lubi się śmiać: brat Jorge z Burgos. Ukrywał traktat Arystotelesa o komizmie, przekonany o destrukcyjnej sile śmiechu. Gdybyśmy tak samo myśleli, skutki tego byłyby równie tragiczne, jak w powieści Eco.

BLC: We wstępie do swojej powieści podkreśla Pan rolę prawdy, która została wymazana z pamięci narodu oraz istnienie białych plam w historii Rumunii. A z drugiej strony pragnie Pan opowiadać piękne historie: o swoich dziadkach, o swoim mieście... Która z tych motywacji była silniejsza?

CT: Obie te motywacje były równie silne. Część opisanych przeze mnie historii jest prawdziwa, część wymyślona, ale w obu przypadkach chodziło o to, aby jak najbardziej zbliżyć się do prawdy o tamtych czasach. A że przy okazji są to ładne opowieści, to już nie moja zasługa, tylko tego kogoś "z góry". Pisarz nie jest właścicielem piękna, raczej jego depozytariuszem. Trudno też jest jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czy tego typu opowieści są w stanie przyczynić się do odzyskania zbiorowej pamięci. Mam jednak nadzieję, że przynajmniej mieszkańcy

Medgidii, którzy przeczytali książkę, dowiedzieli się czegoś o nieznanym im kompletnie historii miasta.

BLC: Jednak sposób opowiadania historii jest już dla pisarza charakterystyczny. Język Pana opowieści jest dla mnie wprost niezwykły, co jest zapewne także zasługą dobrego tłumacza, bo przecież nie znam oryginału.

CT: No cóż, czasami bywa tak, że tłumacz jest bardziej utalentowany niż autor (śmiech).

BLC: Nie przesadzajmy. Sam pomysł, układ opowiadań, które są rodzajem mikrokosmosów, bo każde opowiadanie ma swoją dramaturgię i może stanowić odrębną całość – to wszystko są Pana oryginalne pomysły.

CT: Od samego początku myślałem o tym, żeby napisać powieść, która będzie inna niż wszystkie. Pierwszych kilkadziesiąt części nie sprawiły mi zbyt wiele kłopotu – pisały się gładko. Ale około sześćdziesiątej części zaczęły się poważne problemy. Musiałem bardzo się pilnować, aby początek kolejnej opowieści nie był powtórzeniem tego, co wydarzyło się wcześniej, a jednocześnie akcja musiała postępować i rozwijać się. Należało bardziej wysilić wyobraźnię, aby wygrać zakład z sobą samym o to, że uda mi się stworzyć taką właśnie nietypową opowieść.

BLC: Kiedy czytałam Pańską książkę po raz pierwszy, porównałam ją do wschodnich miniatur – precyzyjnie zbudowanych opowieści, mających podwójne dno. Kiedy zajrzałam do niej ponownie, przygotowując się do wywiadu, skojarzyła mi się – *toutes proportions gardées* – z epopeją Homera. W obu przypadkach mamy do czynienia z opowieścią o końcu jakiegoś świata, a poza tym Pan również zbiera w jedną całość historie, które się wydarzyły naprawdę i przedstawia je w formie literacko wysublimowanej i dojrzałej. Na ile zmienił Pan gotowe historie, że stały się tym "czymś więcej"?

CT: Kilkanaście spośród opowiedzianych w książce historii zostało przejętych z opowieści moich dziadków i przyjaciół. Jednak większość z nich jest wytworem mojej wyobraźni. Podczas promocji mojej książki w mieście Medgidia jeden z uczestników spotkania powiedział, że słyszał historię majora Scipiona i zaczął mi o nim opowiadać. Kiedy skończył swoją wypowiedź, z żalem musiałem go poinformować, że

takiej osoby nigdy nie było i jest ona całkowicie wytworem mojej wyobraźni (śmiej).

BLC: Zawarł Pan w swojej powieści nie tylko ludzkie historie, ale nawet opowieść o psie jednej z bohaterów, co mnie niezwykle urzekło, bo w ten sposób w Pańskim mikrokosmosie nie brakuje właściwie niczego... Jednocześnie czytelnik ma świadomość, że opisuje Pan świat, którego już nie ma.

CT: Wychowałem się w Medgidii i zapamiętałem z dzieciństwa, jak dwa razy w tygodniu przez miasteczko przejeżdżał wóz hycła, który wylapywał bezdomne psy. W psich oczach widziałem tak wielki smutek, że zapamiętałem to do końca życia. I kiedy zacząłem pisać tę opowieść, postanowiłem poświęcić jej część również psiemu losowi.

Dziadkom, u których spędziłem wczesne dziecięce lata, zawdzięczam wiele opowieści, dzięki czemu udało mi się zapamiętać atmosferę tamtego świata. Ludzie należący do jego elit zostali zepchnięci po wojnie na obrzeża, ponieważ nowy reżim ich nie tolerował. Odchodzili na moich oczach, a wraz nimi znikał tamten świat. Do Medgidii zaczęli przyjeżdżać za pracą nowi ludzie, którzy nieśli ze sobą inne historie, zupełnie różne od dotychczasowych. Po śmierci dziadka Stefana zrozumiałem, że to jest już zupełnie inne miasto.

BLC: Ale powrócił Pan do niego w swojej twórczości...

CT: To nie ja powróciłem do Medgidii, ale ona wróciła do mnie! W pewnym momencie zacząłem sobie przypominać te różne historie i gdyby nie było tych czterech – pięciu głównych postaci, trudno by mi było stworzyć całość opowieści.

BLC: Czy w Pańskiej twórczości temat pamięci jest wiodący?

CT: Temat utraconej pamięci jest obecny w mojej prozie od samego początku, kiedy to powstało opowiadanie "Dom", w którym zawarłem historię mojej babci z Medgidii. Po opublikowaniu go w antologii, spoczęło w szufladzie, ale już wtedy chciałem podjąć ten temat ponownie i znacznie szerzej. W innej mojej książce – *Tainele inimei* ("Sekrety serca") również jest obecna postać majora Scipiona, który całym sobą przypomina o świecie bezpowrotnie minionym.

BLC: A co Pan pisze obecnie?

CT: W ubiegłym roku pojawił się pierwszy tom z cyklu *Șoseaua Virtuții. Cartea Câinelui* („Droga cnoty. Księga psa”) – powieść o transformacji ustrojowej, od lat 90., kiedy to tworzył się drapieżny rodzimy kapitalizm. Obecnie pracuję nad drugim tomem, ale myślę też o powieści, która tworzyłaby dopełnienie do „Medgdii”. Tym razem jednak chciałbym opisać świat dziadków mojej żony, pochodzących z Transylwanii, którzy po wojnie przybyli „za chlebem” do stolicy. Ich losy stanowiłyby kanwę nowej powieści. Mam nawet w głowie gotowy pierwszy rozdział, w którym opisuję prawdziwe wydarzenie. Otóż kiedy zmarła babcia mojej żony, do drzwi zapukało dwóch ubranych na czarno starszych panów, którzy oświadczyli, że są z towarzystwa pogrzebowego „Kukułka” i oferują swoje usługi. Okazało się, że babcia posiadała legitymację z numerem jednego z tego towarzystwa, a co więcej – jego założycielem był mąż babci. Trumnę miał wieźć wóz zaprzężony w kilka koni, ozdobnie wystrojonych w czarne pióropusze. Był rok 1981 i matka żony odmówiła takiego pompatycznego pogrzebu, ale w moim opowiadaniu babcia zostanie jednak pochowana tak uroczyście.

<http://kulturaonline.pl/>

Syn Polki i indiańskiego wodza – Sienkiewiczem kanadyjskich Indian



Sat-Okh, fot. Daniel Pach, photopach.

Ewa Bagłaj

W życiu Sat-Okha, czyli Stanisława Supłatowicza, połączyły się losy dwóch, nękanych przez historię narodów — Indian i Polaków. Jest on autorem szeregu książek przywołujących indiańską przeszłość, które opierają się na prawdziwych wydarzeniach. Jego współplemieńcy, spychani do rezerwatów, nie byli w stanie obronić swej kultury. Aby im pomóc, Sat-Okh zaczął pisać. Beletryzując historię, przywoływał echo minionych bitew, wskrzeszał szlachetnych bohaterów, opiewał ich dramatyczną, nierówną walkę z białym najeźdźcą w obronie własnej tożsamości, religii i ziemi. Zbierał legendy oraz informacje o codziennym życiu swych przodków. W stosunku do Indian kanadyjskich jego twórczość spełniała rolę podobną do tej, jaką powieści Henryka Sienkiewicza odegrały w literaturze polskiej.

Sat-Okh (w narzeczu Indian z plemienia Shawnee - Długie Pióro) urodził się około 1922 roku, jako syn Polki i indiańskiego wodza. Jego matka, Stanisława Supłatowicz w 1905 roku w wyniku carskich represji trafiła na Syberię. Stamtąd, wraz z grupą polskich zesłańców, przedostała się przez Zatokę Beringa i Alaskę do Kanady. Tam poznała wodza plemienia Shawnee - Lee-ono-ma (Wysokiego Orła), którego wkrótce

poślubiła. Jej nowe imię brzmiało Ta-Wach (Biały Obłok). Sat-Okh całe dzieciństwo i wczesną młodość spędził wśród Indian w kanadyjskiej puszczy, co opisał w *Ziemi słonych skał* (1958). W wieku pięciu lat należał już do tzw. „szkoły wilków”, w której uczył się tropienia i polowania. Przebywał wśród Indian do 16 roku życia. Na przełomie roku 1936/1937 wraz z matką i bratem przyjechał do Polski, by odwiedzić mieszkającą tu rodzinę. Hitlerowska agresja zastała ich w Radomiu. Po wybuchu wojny droga powrotu do Kanady została odcięta. Młody Indianin przyjął imię matki oraz jej panieńskie nazwisko i zaangażował się w konspiracyjną walkę z okupantem. W 1940 roku został złapany przez gestapo. Dzięki swej niezwyklej odwadze i świetnej kondycji fizycznej „człowieka puszczy” udało mu się wyskoczyć z bydlęcego wagonu transportującego więźniów do obozu w Oświęcimiu. Został żołnierzem Armii Krajowej, nieocenionym w konnym zwiadzie (pchor. „Kozak”). Walczył w rejonie Gór Świętokrzyskich. Za męstwo odznaczono go Krzyżem Walecznych. Jako żołnierz I Batalionu Morskiego brał udział w walkach o wyzwolenie Wybrzeża. Po zakończeniu wojny został aresztowany i uwięziony przez władze polskie za przynależność do Armii Krajowej. Przez pewien czas służył w Marynarce Wojennej, był także wolontariuszem w Ratownictwie Morskim. Po uzyskaniu średniego wykształcenia technicznego pływał przez wiele lat jako mechanik na statkach Polskich Linii Oceanicznych. Osiedlił się na Wybrzeżu. W czasie rejsów na „Batorym” udało mu się odwiedzić pozostałą w Kanadzie siostrę. W 1958 roku zaczął pisać, przywołując w książkach swoją indiańską przeszłość. Jego książki przeznaczone były głównie dla młodego czytelnika. Wszystkie własnoręcznie zilustrował. W posłowie do pierwszej z nich tak określa swoje posłannictwo:

Polska stała się moją nową ojczyzną. Chciałem jednak tej pierwszej oddać sprawiedliwość. Postanowiłem więc opowiedzieć wam o niej, młodzi przyjaciele, opowiedzieć o życiu Indian, o ich trudnym i twardym losie. Mam nadzieję, że dzięki tej książce potraficie może trochę lepiej niż dotychczas zrozumieć ich życie, marzenia, ich miłość do puszczy, ich walkę o wolność, której pozostało im już tak niewiele, a której tak bardzo im potrzeba.

(Sat-Okh, Ziemia słonych skał, Czytelnik, Warszawa 1958, s.243).

Książki te cieszyły się w PRL sporą popularnością nie tylko wśród młodzieży. Autor

nie miał ambicji tworzenia tzw. literatury wysokiej, jednak uniwersalna wymowa jego utworów oraz barwne opisy egzotycznych krajobrazów Kanady i jej pierwszych mieszkańców nadają twórczości Sat-Okha pewien walor artystyczny. Jest to jedyny w literaturze polskiej obraz Kanady widziany z perspektywy jej rdzennego mieszkańca. Najistotniejszą jego częścią jest przedstawienie kultury Indian Odżibwejów, zwanych Czarodziejami Lasu.

Odżibwejowie (Ojibway, Ojibwa), znani w USA także jako Czipewejowie (Chippewa), a na północy Kanady jako Saulteaux (Soto) – byli trzecim co do wielkości plemieniem indiańskim w Ameryce Północnej. (...) Ich sława wywodziła się nie tyle z wyczynów wojennych, ile z niedoścignionej konstrukcji lekkich, zgrabnych i obszernych łodzi typu kanu (canoe) z kory brzoźowej, mistrzowskiej znajomości żeglugi śródlądowej, czy kunsztownej wyprawy skór zwierzęcych i przepięknej sztuki dekoracyjnej. Ich pełna finezji sztuka, poezja mitologia, zadziwiające praktyki lecznicze, bogata kultura duchowa i materialna, sprawiły, że Odżibwejów nazywano Czarodziejami Lasu. Ci leśni magowie, artyści, wytrawni myśliwi i żeglarze przez wiele pokoleń niepodzielnie władali rozległymi lasami nad Jeziorem Górnym i na Dalekim Zachodzie aż do źródeł Missisipi, kanadyjskich jezior Nipigon czy Seul oraz obrzeża trawiastych równin dzisiejszej prowincji Manitoba i Saskatchewan.

(Leszek Michalik, Świat i życie Odżibwejów [w:] „Kayfis ochi.” Biuletyn informacyjny Sztumskie Koła Zainteresowań Kulturą Indian „Stowarzyszenie Żółwi”, jesień-zima 2000/2001, nr 2(50), s.16.

Pismo, którego tytuł w języku Kri Równin (Plains Cree) Tłumaczy się jako „dawne drogi” bądź „stare obyczaje” było jedynym w Polsce periodykiem wyłącznie poświęconym szeroko rozumianej współczesnej tradycji duchowości indiańskiej i przez to ważnym źródłem specjalistycznej informacji, wykorzystywanym m.in. w wielu ośrodkach akademickich przez studentów etnologii, religioznawstwa, socjologii i innych kierunków. Numer 50. jubileuszowy prawie w całości dotyczy duchowych tradycji Odżibwejów. Redaktor naczelny pisma, Leszek Michalik, z wykształcenia polonista, z zawodu nauczyciel, pisarz, tłumacz literatury amerykańskiej i dziennikarz w prasie lokalnej woj. pomorskiego, znawca i kolekcjoner rękodzieła

indiańskiego, swoje zainteresowania zawdzięcza właśnie Sat-Okhowi, z którym zetknął się osobiście już we wczesnym okresie młodzieńczym).



Stanisław Supłatowicz (Sat-Okh).

Czytając książki Sat-Okha odnosi się wrażenie, że akcja służy autorowi przede wszystkim jako pretekst do przekazania jak największej ilości wiadomości o życiu swych przodków – ich strojach i fryzurach, wyrobach artystycznych, języku, wyglądzie domostw, o kuchni i rzemiośle, sztuce wojennej i myśliwskiej, codziennych zajęciach i świątecznych obrzędach. Przy okazji obala autor wiele fałszywych wyobrażeń. Np. fajka pokoju to wymysł białego człowieka. W rzeczywistości to święta fajka obrzędowa. (Sat-Okh, *Walczący Lenapa*, Gdańsk 2001, s.25 oraz s.54). Skalpować, o czym wiedzą nieliczni, pierwsi zaczęli hiszpańscy konkwistadorzy. Ciekawy jest też opis wierzeń Odżibwejów i związana z nimi oryginalna mitologia.

Wszystkie plemiona wschodnie, zamieszkujące lasy od Atlantyku aż do krainy Wawa poza jeziorem Górnym, gromadziły legendy i mity o budowie świata, zbliżone w treści do siebie.

*(Sat-Okh, *Walczący Lenapa*, Gdańska 2001, s.94).*

Legendy o stworzeniu świata i człowieka zwykle zajmują dużo miejsca w książkach Sat-Okha (*Ziemia słonych skał*, s.7-8; *Walczący Lenapa*, s.94-100; *Serce Chippewaya*,

Gdańsk 1999, s.19-25 itd.). Np. bogata wyobraźnię Indian pokazuje mit Mohawków o słońcu i księżycu:

Kiedy Ziemia zaludniła się, kiedy wyrosły trawy, krzewy i drzewa, kiedy lasy, prerie zaroily się zwierzyną i ptactwem, a ludzie zaczęli mówić różnymi językami, Słońce i Księżyc spokojnie i zgodnie wędrowały po Wysokim świecie.²⁹⁶ Po pewnym czasie ludzie zaczęli się kłócić między sobą, nastąpiła niezgoda i wojny.

Gdy Słońce i Księżyc ujrzały, jak żyją ludzie, zaczęły postępować podobnie i zachowywać się jak mąż i żona. Pewnego razu Księżyc – żona, przypadkowo przeszedł jako pierwszy przed swym małżonkiem, Słońcem przez otwór wyjściowy na krańcu świata. Doprowadziło to Słońce do takiej złości, że zbił żonę tak bardzo, iż rozchorowała się ciężko, schudła i z pięknej jasnej kuli, świecącej nocą, stała się cienka i zakrzywiona. Nie pokazywała się więc przez pewien czas i nad ziemią w porze nocnej panowała zupełna ciemność. (...)

Księżyc szybko odzyskał zdrowie i znowu stał się piękną, jasną kulą, ale kiedy rozgniewane jeszcze Słońce znalazło się po przeciwnej stronie Górnego świata i ujrzało swą małżonkę w pełnym blasku jej urody, udawało, że jej nie poznaje. Kobieta-Księżyc ponownie zaczęła chudnąć ze zmartwienia, aż stała się podobna do dziecinnego małego łuku.

Od tego czasu choroby Księżyca powracają systematycznie; gdy ma nadzieję na odzyskanie łask swego małżonka Słońca – zdrowieje i nabiera pełnych, okrągłych kształtów, gdy traci nadzieję i martwi się – chudnie.

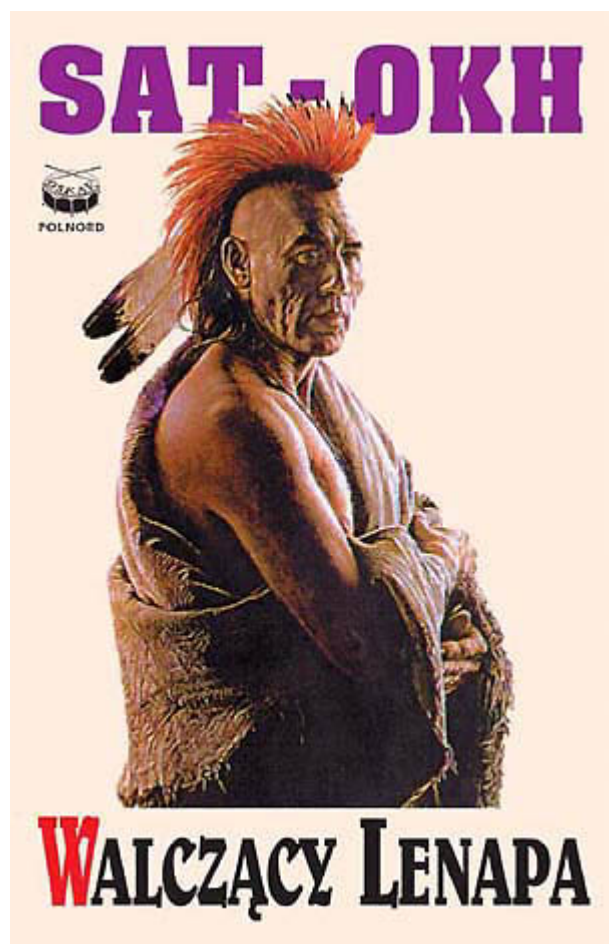
Książki Sat-Okha opowiadają o szlachetnych ludziach żyjących w symbiozie z przyrodą. Wszystkie swe czynności wykonują oni w zgodzie z odwiecznymi prawami natury, co wynika z ogromnego szacunku do Matki Ziemi:

Ty zaś [czytelniku] zejdź ze mną ze skały w samo serce puszczy — zaprasza autor Walczącego Lenapy – Przyprowadziłem cię do niej, abyś ją poznał. Chciałbym cię nauczyć tego, co sam do niej czuję – szacunku i miłości. Jest ona moim domem, domem mego ojca, przyjaciół, domem mego plemienia – Szewaneczów. Żywi nas i odziewa, cieszy nas swoim pięknem, ale potrafi też uczyć strachu. (s.98-99).

Narrator traktuje więc czytelnika jak kogoś bliskiego, wyróżnionego zaszczytem wtajemniczenia. Bowiem w ten sposób indiańscy rodzice przekazywali wiedzę swoim dzieciom:

Nishishin spędzała wiele czasu z córką w lesie, na kwiecistych polanach, tłumacząc jej: – Mała, otwórz uszy na moje słowa, niech na zawsze pozostaną w twoim umyśle i serduszkach. W przyszłości, jak dorośniesz, pokażesz je swoim dzieciom. Rozejrzyj się dookoła, popatrz, jak Matka Ziemia okryła się wielobarwną derką utkaną z kwiatów i zielonych krzewów. Nie zrywaj nigdy kwiatów! (...) Zrywając je, nie widzisz, że płaczą. A one naprawdę płaczą, bo zrywając je zabierasz im życie i duszę, wszystko bowiem, co nas otacza, żyje i odczuwa ból. (...) Każdy kwiat odznacza się mądrością. Przez dotyk owa mądrość przenika do człowieka. Jakie to smutne ułamać gałązkę z drzewa, chociaż zostaje ich przecież wiele. Jeszcze bardziej bolesne jest zerwanie kwiatu, to takie uczucie, jakby matka straciła jedyne swoje dziecko, więc szanuj, Pinneyshis, to wszystko, co cię otacza. Pamiętaj, że świat roślin i zwierząt obdarzony jest takim samym życiem, jakie i my posiadamy. Nie zabijamy więc niczego bez potrzeby, bo czy można cieszyć się z czyjejś śmierci i bólu? Wszyscy tworzymy krąg życia, a niszcząc ten krąg niszczymy siebie.

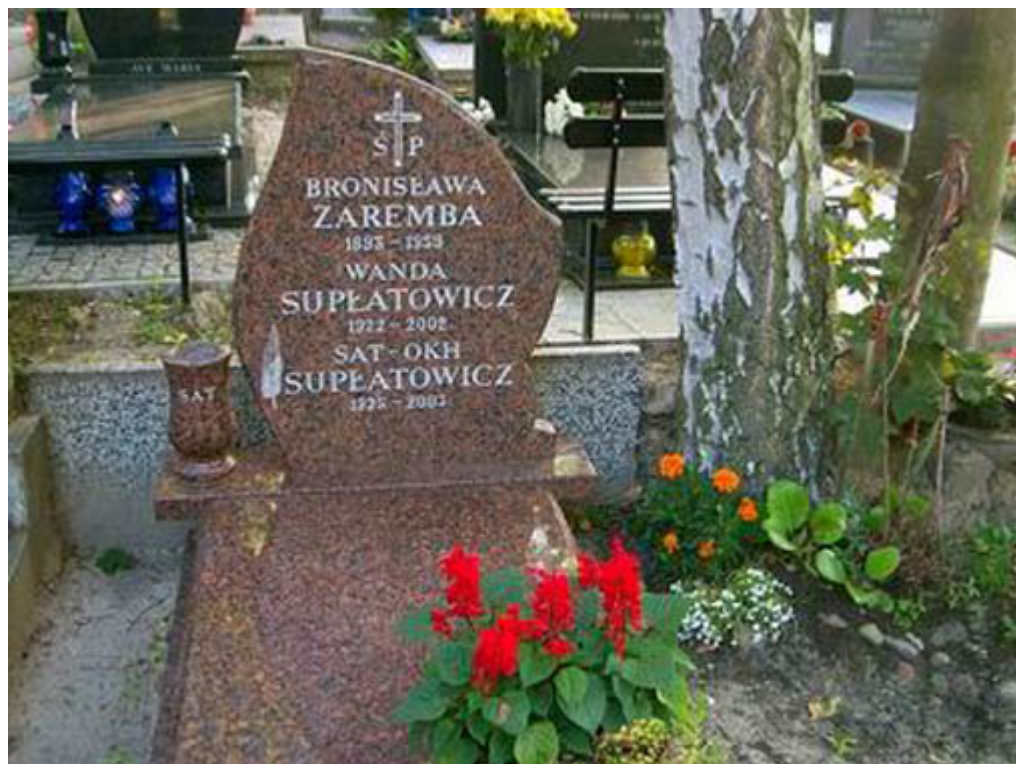
(Serce Chippewaya, s. 52-53).



Wątek ekologiczny jest jedną z największych wartości tych lektur, do dziś przysparza bohaterom Sat-Okha naśladowców. Autor jest również współtwórcą jedyne w Polsce i największego w Europie muzeum poświęconego życiu i kulturze Indian Ameryki Północnej. Wymysłowo koło Tucholi odwiedzają miłośnicy jego twórczości, ludzie którzy w dobie Internetu i dziury ozonowej tęsknią za powrotem do prostoty życia w bliskości z naturą. Książki Stanisława Supłatowicza okazały się więc zupełnie nietypową promocją Kraju Klonowego Liścia. I to nie tylko w Polsce, bowiem przetłumaczono je na wiele języków europejskich (niemiecki, francuski, czeski, bułgarski, rosyjski, ukraiński), a także poza europejskich (japoński, hebrajski, mongolski).

Sat Okh - 1958 „Ziemia słonych skał”; wyd.2, 1958; wyd.3, 1962; wyd.4, 1973; wyd.5, 1974; wyd.6, 1986; 1959 „Biały mustang”; wyd. 2 1960; [wyd. 3] 1983; [wyd. 4] 1983; [wyd. 5] 1987; [wyd. 6] 1993; 1973 „Dorogi schodjatsja” (w jęz. ros., wspólnie z Antoniną Leonidowną Rasulovą); 1981 „Powstanie człowieka”; wyd.2, 1988; 1985 „Fort nad Athabaską” (wspólnie z Yácta-Oya); wyd.2, 1989; wyd.3, 1996; 1990 „Głos prerii”; wyd.2, 1997; 1996 „Tajemnica Rzeki Bobrów”; 1999 „Serce Chippewaya”; 2001 „Walczący Lenapa”.

Sat-Okh zmarł 3 lipca 2003 roku w Gdańsku. Został pochowany na gdańskim cmentarzu „Srebrzysko”.



Film o Sat-Okhu:

„Dotykanie świata”



Promocja tomu wierszy Floriana Śmieji „Dotykanie świata” w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r. Prowadzenie Edward Zyman.

Rozmowa z profesorem i poetą Florianem Śmieją

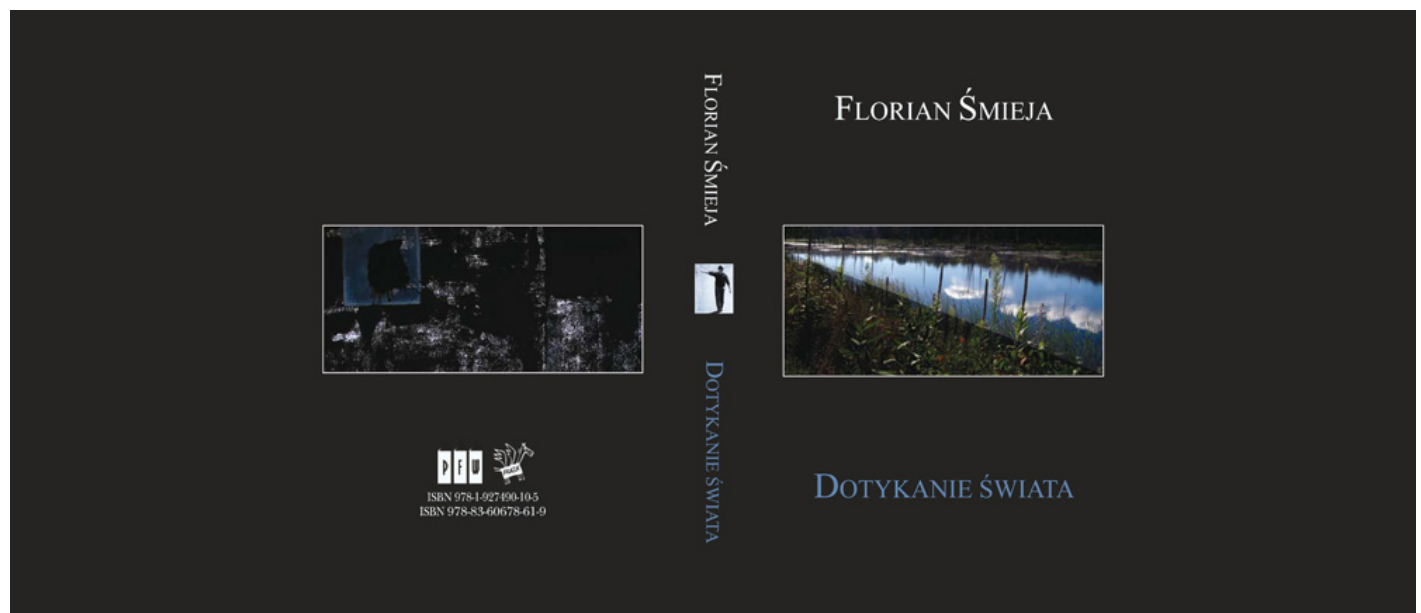
Joanna Sokołowska-Gwizdka: Panie profesorze, w listopadzie ukazał się tom Pana wierszy „Dotykanie świata”. Jest to podróż przez myśli, obserwacje i emocje z całego Pana życia, począwszy od utworów z tomu „Czuwanie u drzwi” wydanych w roku 1953 aż po najnowsze. W Pana wierszach pojawiają się motywy katastroficzne, mocno zarysowane we wczesnym okresie twórczości, w późniejszym – w warstwie semantycznej łagodnieją, ustępując miejsca refleksji nad sensem bytu.

Florian Śmieja: Byłem świadkiem, a potem uczestnikiem wojny światowej, więc nic dziwnego, że jej horrory zaznaczyły się mocniej w mojej twórczości. Później czasowe

oddalenie i zaistniały dystans sprawiły, że odezwały się łagodniejsze tony, a te pozwoliły na zadumę i refleksyjność, na pragmatyczne docenienie stanu posiadania.

JSG: Część z Pana wierszy to małe traktaty filozoficzne pełne rozważań egzystencjalnych. Stawia Pan pytania bez odpowiedzi.

FŚ: Nieraz nas frapuje nieprzewidziany kalejdoskop rzeczywistości i staramy się sformułować swoje niedowierzanie. Stawianie pytań jest łatwiejsze niż ferowanie konkluzji, bo odpowiedzi są trudne, wieloznaczne, często wręcz niemożliwe. Odnoszę wrażenie, że zamiast czuć się *homo sapiens* człowiek jest *homo quaerens intellectus*, raczej istotą dociekliwą, szuka rozumienia, a sama taka aktywność nas już nobilituje.



JSG: Motywy emigracji, ziemi utraconej, wyobcowania, powrót do wspomnień, kraju dzieciństwa, często pojawiają się w Pana utworach. Czym jest dla Pana emigracja zarówno ta fizyczna, jak i duchowa?

FŚ: Emigracja była nieprzewidzianą i niepożądaną przypadłością. Zdemobilizowany po zakończeniu wojny w Anglii, miałem różne pomysły włącznie z zostaniem rybakim dalekomorskim. Byłem już na kursie w szkockim porcie Aberdeen, kiedy otworzyła się możliwość studiów humanistycznych w Irlandii. Te mi się powiodły i poszczęściła kariera zawodowa. W rezultacie ułatwiły mi funkcjonowanie w obcym społeczeństwie, a ówczesne liczne i prężne polskie ośrodki i żona Polka sprawiły, że

zachowałem swoją tożsamość i nie nastąpiło wykorzenienie. Pokrewne duchowości zapewniły rodzinną harmonię i godziwy rozwój. Nie musiałem też „pisać na Berdyczów”, bo mogłem wielokrotnie odwiedzić kraj lat dzieciennych i spotkać jeszcze niektórych pamiętanych ludzi.

JSG: Czy pamięć to istnienie, a niepamięć to lekarstwo na pamięć?

FŚ: Pamięć nazwałem w jednym z wierszy „glejtem na stare lata”. Tamże wzywam:

pielęgnujmy pamięć

skoro nic poza nią nie istnieje.

Bo w chwili próby nie możemy być sami

świat zapamiętany będzie cumą

zbawienną, zapisem wypełnionego...

JSG: Jest Pan mocno osadzony w literaturze i kulturze hiszpańskojęzycznej, włada Pan biegle językiem angielskim, zna Pan język niemiecki. A jednak językiem Pana poezji jest głównie język polski.

FŚ: Słyszy się opinię, że poezję pisze się w języku odebranym od matki, czyli w języku, który jest dla człowieka najbardziej intymny. Pisanie w obcym języku, angielskim czy hiszpańskim, właściwie nie wchodziło w grę. Próbowałem, ale to się nie udawało, raczej wmawiałem sobie, że coś się udało napisać, ale myślę, że to były nieudane próby. Jednak ten język matczyny, dla każdego jest podstawowy, zażądał swoich praw i wydał się najsluszniejszym. Dlaczego? Bo jak ja napiszę coś po polsku, myślę oczywiście o wierszu, to mam pewność, że to jest właśnie to, co napisać chciałem, nawet jeśli to trzeba poprawiać, wprowadzać pewne korekty.

Każdy inny język, w moim przypadku angielski czy hiszpański, wymagałby jeszcze człowieka, dla którego to jest język naturalny i który potrafiłby wyłapać wszystkie jego niuanse. To właśnie było powodem, że zostałem przy polskim. Był moment, kiedy wraz z kolegami w Londynie zastanawiałem się, czy nie przejść na język angielski.

JSG: Nestor pisarzy polskich, Zygmunt Nowakowski, ani przez chwilę nie zwątpił, że zwycięży język polski.

FŚ: Mimo, że widział, iż stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosiły się do siebie z obojętnością i chłodem, nie miał wątpliwości, co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował: *Ona wykluje się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w męce, w wewnętrznym szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozwagi. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności, nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć.* I dodał na koniec: *A język, zamiast kulą u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu.*

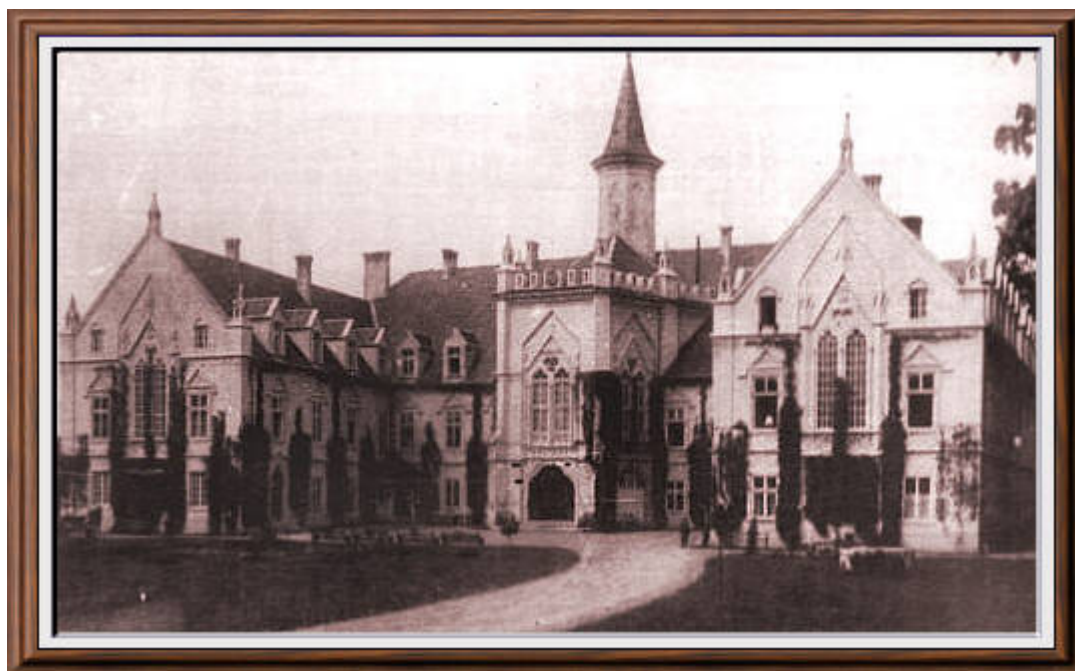
JSG: Dedykował Pan tom „Dotykanie świata” swojej żonie. Czy żona podróżując z Panem przez życie, podróżuje również przez tworzony przez Pana świat poezji?

FŚ: Żona, towarzyszy mi dzielnie od ponad 62 lat, wędrowaliśmy od Londynu przez Karaiby po Hawaje. Nie sposób negować jej zasadniczego udziału w dotykaniu świata. Wybieraliśmy wspólne wędrówki, względnie godziliśmy się na ofertę losu.



Florian Śmieja z żoną Zofią z Poniatowskich w 62 rocznicę ślubu w lipcu 2016 r.

Tarnowscy z Dzikowa



Rezydencja Tarnowskich w Dzikowie. Elewacja południowa zamku w 1925 r. niedługo przed wybuchem pożaru Źródło: Zamek Tarnowskich w Dzikowie, A. Janas, A. Wójcik, Tarnobrzeg 1994 .



Rezydencja Tarnowskich w Dzikowie. Zamek w 1927 r. po wybuchu pożaru. Źródło: Zamek Tarnowskich w Dzikowie, A. Janas, A. Wójcik, Tarnobrzeg 1994 .

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Wierni Bogu, Ojczyźnie i Rodzinie, ufni w opiekę

Matki Boskiej Dzikowskiej

Dzieje polskich rodzin arystokratycznych to temat rzeka. Pokolenie, urodzone w pałacach i w wielkich latyfundiach, wychowane pośród unikatowych dzieł sztuki, dobrze pamięta okres dawnej świetności swoich rodzin. Ludzie ci musieli wyrzec się wszystkiego, co tworzyło ciągłość oraz wielusetletnią tradycję rodzinną i opuścić swoje siedziby, nie mogąc zabrać nawet pamiątek. Wyjechali na tułaczkę z przysłowiową jedną walizką (*walizka Róży Siemieńskiej, pokazana została na wystawie „Raj utracony, raj odzyskany” w Montrealu w 2006 r.*). Wielu z nich osiadło za granicą, aby rozpocząć historię rodziny od nowa, poza granicami kraju.

Artur Tarnowski (1903-1984). ostatni pan na Dzikowie był synem Zdzisława i Zofii z Potockich. Gruntownie wykształcony, pełnił, poza zajmowaniem się administracją Dzikowa, liczne funkcje publiczne, m.in. był posłem na Sejm Rzeczypospolitej. Jego żona Róża Tarnowska (1911 – 2005) była córką Maurycego Zamoyskiego, czołowego polityka II Rzeczypospolitej, m.in. ministra spraw zagranicznych. Artur Tarnowski zmobilizowany we wrześniu 1939 roku, 24 września dostał się do niewoli pod Zamościem. Jednak tego samego dnia uciekł i przedostając się lasami, 27 września dotarł do Dzikowa. Na zamku kwaterowali Niemcy, którzy ciężko chorej Róży Tarnowskiej i dzieciom zostawili kilka pokoi w skrzydle. Artura Tarnowskiego od razu nie aresztowano, ale oświadczono mu, że gdyby uciekł natychmiast zostaną rozstrzelane żona i dzieci. 6 października Niemcy go wywieźli. Od tego czasu przebywał w oflagu. Róża Tarnowska musiała sama zarządzać olbrzymim majątkiem. Do tego cały czas pomagała żołnierzom podziemia. W 1944 roku wraz z czwórką małoletnich dzieci: Marią (12 lat), Janem (11 lat), Marcinem (9 lat) i Pawłem (7 lat) musiała opuścić Dzików. Artur Tarnowski, po wyzwoleniu z oflagu, wstąpił do I dywizji pancерnej gen. Maczka, w której starszy brat Artura, Jan, był adiutantem generała. Aby dołączyć do męża, Róża Tarnowska wraz z dziećmi wyjechała z Polski przez zieloną granicę. Spotkali się w Meppen w Niemczech. Po demobilizacji w 1947 roku cała rodzina przeniosła się do Brukseli, a w 1951 r. Artur i Róża Tarnowscy wraz z dziećmi wyemigrowali do Kanady i zamieszkali w Montrealu. Tak jak wielu przedstawicieli ich środowiska, wychowywani w skromności i poszanowaniu dla innych, przystosowali się do warunków na obcej ziemi i do samodzielnej walki o egzystencję, choć na początku było im bardzo trudno. Przechodzili taką samą drogę, jak wielu innych emigrantów. Ale nie poddali się.



Artur i Róża hr Tarnowscy po ślubie, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.



Wyjście z Katedry na Wawelu po ślubie Zdzisława hr Tarnowskiego i Zofii z hr

Potockich, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Tarnowscy z Dzikowa herbu Leliwa mają w swoich szeregach wielu wybitnych przedstawicieli – słynnego hetmana Jana Tarnowskiego, historyka literatury polskiej i rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego Stanisława Tarnowskiego, czy poetę dramaturga i kompozytora – Władysława Tarnowskiego.

Zamek w Dzikowie został zbudowany w XV wieku, pełnił wówczas funkcje tylko wieży obronnej. W 1522 roku Dzików kupili Tarnowscy od rodziny Ossolińskich i powoli zaczęli go rozbudowywać. Rodzinna rezydencja Tarnowskich znajdowała się wówczas w Wielowsi, która należała do nich od 1330 roku. Gdy jednak w poł. XVII wieku Wielowieś została kompletnie spalona przez wojska szwedzkie, zamek w Dzikowie został obrany na rodowe gniazdo i przebudowany. W XVIII w. w Dzikowie odbyła się tzw. konferencja dzikowska związana w celu obrony tronu polskiego dla króla Stanisława Leszczyńskiego (1734). Jednak nie powiodło się utrzymanie tronu, a król musiał wyemigrować do Francji.

Kolejna przebudowa zamku miała miejsce po 1830 r. za czasów Jana Feliksa Tarnowskiego. Powstał pałac w stylu neogotyckim według projektu architekta Franciszka Marii Lanciego. Zmianom poddano także system zamkowych fortyfikacji, zasypano część fos i utworzono park z romantycznymi mostkami. Całość otaczało żelazne ogrodzenie.



Artur i Róża hr Tarnowscy z paziąmi, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Ten piękny obiekt został w dużej części zniszczony podczas pożaru, w 1927 roku. W ratowaniu cennych zbiorów i pamiątek brała udział pod kierownictwem Dr. Marczaka ludność z okolicy oraz młodzież z pobliskiej szkoły. Niestety, mimo specjalnych konstrukcji zabezpieczających zawalił się ogniotrwały sufit w Wielkiej Sali i zabił tam dziewięciu bohatersko ratujących zbiory. W 1931 r. pałac odbudowano, ale nadano mu już inny wygląd. Pracami kierował Wacław Krzyżanowski, który zaproponował przebudowę w stylu wczesnobarokowym.

Podczas II wojny światowej zamek nie uległ zniszczeniu, ale po wojnie, w 1945 roku został skonfiskowany wraz z całym majątkiem przez ówczesne władze. Utworzono w nim istniejącą do niedawna szkołę techniczną, a kaplica zamkowa służyła za zwykłą salę lekcyjną. W 2001 r. przywrócono kaplicy jej dawną funkcję i została oddana pod opiekę oo. Dominikanów.



Ślub Artura i Róży hr Tarnowskich. Jan hr Zamoyski i Andrzej hr Tarnowski w kontuszach, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Historia Dzikowskich Zbiorów

Właściciele dóbr – Jan Feliks Tarnowski, senator Królestwa Polskiego (wychowany w atmosferze Sejmu Czteroletniego przez dziadka Stanisława Małachowskiego) i jego żona Waleria ze Stroynowskich, w tragicznym dla Polski 1830 r., postanowili przenieść się na stałe z Warszawy do Dzikowa. I tu chcieli stworzyć kolekcję pamiątek narodowych. W odnowionej siedzibie Tarnowscy zgromadzili wspaniałe zbiory. W XIX w. było tu 250 obrazów, m.in. Tycjana, Rubensa, Rembrandta, Van Dycka Malczewskiego, Matejki. Kolekcję uzupełniał zbiór miniatur Vincentego Lesseur oraz szereg obrazów staropolskich i portretów rodzinnych, wykonanych przez malarzy polskich z tej epoki. Archiwum i biblioteka, gdzie znajdowały się ważne dokumenty, dotyczące historii Polski i rodziny oraz wartościowe starodruki i rękopisy sprawiały, że zbiory Dzikowskie były jednymi z najciekawszych i najpiękniejszych w Polsce. To właśnie w Dzikowie przechowywano najstarszy rękopis „Kroniki Polskiej” Galla Anonima, pierwszy odpis Bogurodzicy, oryginał „Kronik” Wincentego Kadłubka i Statutów Wiślickich czy rękopis „Pana Tadeusza” Adama

Mickiewicza.

Jeszcze przed I wojną światową słynna stała się sprawa obrazu Rembrandta „Lisowczyk”, jednego z najcenniejszych obrazów w Polsce, który znajdował się w dzikowskiej kolekcji Tarnowskich, sprzedanego i wywieziony do Nowego Jorku w 1910 r. Píše o tym Artur hr Tarnowski w artykule „Prawda o zbiorach dzikowskich”, opublikowanym w „Kulturze paryskiej” w 1959 roku.

...Aby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego podjęta została przez rodzinę taka decyzja, trzeba pamiętać, że żyli oni wtedy w innej epoce. Żyli pod zaborami. Tendencją narodową było wtedy nie sprzedanie ani piędzi ziemi obcemu, a jeżeli możliwe, wykupywanie jej, by w ręce polskie znowu wróciła. Wtedy ziemia w rękach polskich była problemem znacznie ważniejszym, niż posiadanie nawet najcenniejszego płótna Rembrandta. To był punkt widzenia narodowy, nie wszystkich może, ale bardzo wielu Polaków.

Grał tu także sentyment rodzinny do „puszczy”, która przez długie wieki, w części co prawda, do rodziny należała, a utracona została w konsekwencji przejęcia jej po rozbiorach przez zaborcze władze austriackie.

Tak więc „Lisowczyk” został sprzedany, aby pieniądze można było przeznaczyć na wykup okolicznych ziem, które mimo, że nie leżały w zaborze pruskim, dotknięte były germanizacją.

Dziś po pięćdziesięciu przeszło latach, może inaczej sprawa wygląda. – pisze dalej hr Tarnowski. – Ziemia nadal jest w Polsce i polska. Nie ma żadnych właścicieli, ani Tarnowskich od 18 pokoleń osiadłych w Wielowsi, a od 13 w Dzikowie. (...) Lisowczyka oglądać można u Frick’a w New Yorku, a autoportret Rembrandta, drugi obraz tego malarza ze zbiorów dzikowskich i inne cenne pamiątki zostawione przeze mnie w polskim Lwowie – gdzie są? – Czy do Polski wrócą? – przyszłość pokaże.

Artur Tarnowski w artykule opisuje też losy innych dzieł sztuki.

W Ameryce, poza Rembrandtem, znajduje się także inne dzieło sztuki, nabyte

przez Jana Feliksa i Walerię Tarnowskich. (...) Chodzi tu o wielkich rozmiarów rzeźbę dłuta Canovy, przedstawiającą „Perseusza”. Rzeźba ta kupiona od Canovy, przewieziona została morzem do Odessy, skąd wołami dociągnięta do Horochowa. Tam ustawiona, po kilku latach swoim ciężarem spowodowała pęknięcie murów pałacu, wobec tego zdecydowano ją sprzedać i do Dzikowa, do którego była przeznaczona nie przewozić. „Perseusz” stał następnie przez szereg lat u Potockich w Wilanowie, w nadziei, że się znajdzie nań kupiec w Polsce. Dziedzicem jej był Juliusz Tarnowski, najmłodszy brat mojego dziada i prof. Stanisława. Gdy Juliusz zginął w Powstaniu 1863, rzeźba przeszła na braci. Oni, po wyjściu Stanisława z kilkuletniego więzienia w Ołomuńcu za współudział w Powstaniu, sprzedali ją w Wiedniu. Profesor Tarnowski za pieniądze uzyskane z tej sprzedaży nabył coś, co dla każdego Polaka jest stokroć cenniejsze niż rzeźba słynnego Canovy. Nabył od syna Mickiewicza, który był w Paryżu w poważnych trudnościach finansowych, rękopis „Pana Tadeusza”. W kilkadziesiąt lat później, gdy z kolei Hieronim, syn prof. Stanisława, potrzebował gotówki, ojciec mój (Zdzisław – przyp. red.) odkupił „Pana Tadeusza” do zbiorów dzikowskich, gdzie był, aż do wybuchu wojny, troskliwą opieką otaczany.



Wjazd pociągiem do Dzikowa, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Za czasów Zdzisława Tarnowskiego i jego żony Zofii z Potockich (rodziców Artura hr Tarnowskiego) cenne zbiory dzikowskie, nadal się powiększały.

(...) nadmienię teraz – pisze dalej w artykule dla „Kultury paryskiej” Artur Tarnowski – że do zbiorów dzikowskich przybyły za życia mojego ojca i inne cenne przedmioty. Został nabyty w Wiedniu piękny portret młodzieńca, malowany przez Joast Sustermans’a, którego reprodukcja, figurująca na str. 81 książki pióra pani Grottowej, każe przypuszczać, że został nabyty przez Jana Feliksa i Walerię Tarnowskich. Od J. Borkowskiego nabył mój ojciec także „Stado Hetmańskie”,

chyba najpiękniejszy obraz pędzla Juliusza Kossaka. Nie wiem skąd, ale przybyły też dwa olejne szkice Matejki. Zawisło też na ścianach wiele portretów i obrazów malowanych przez J. Malczewskiego, Juliusza i Wojciecha Kossaków, Pochwalskiego, (miniatury) Dąbrowskiej i innych polskich malarzy. Nie na tym koniec. Śp. Matka moja bardzo interesowała się biblioteką dzikowską. Całe swoje życie nabywała stare, ale i współczesne książki, by uzupełnić bibliotekę dzikowską. Czy są na to dowody w aktach dzikowskich, które znajdują się obecnie na Wawelu, nie wiem. Pewnie ich nie ma, bo matka moja książki nabywała głównie przez księgarnie Krzyżanowskiego, oraz Gebethnera i Wolfa w Krakowie, a kupując płaciła zaraz gotówką.

O kolekcji dzikowskiej dalej pisze Artur Tarnowski:

Pożar bardzo wiele zniszczył, ale to, co zostało, pieczołowicie znowu skatalogowano. Książki i archiwum opracował dr Marczak. Obrazy wszystkie były spisane, a spis uzupełniony fotografiami., które wykonał fotograf z Krakowa, o ile mnie pamięć nie myli, specjalista z „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. Może więc tam uchowały się fotografie obrazów dzikowskich, jeżeli katalog dzikowski nie istnieje.

W czasie wojny bezcenne skarby kultury narodowej i europejskiej zostały przez Artura Tarnowskiego starannie ukryte w Dzikowie, a także zdeponowane w Muzeum Narodowym w Warszawie i Ossolineum we Lwowie.

Gdy wiosną 1939 roku sytuacja międzynarodowa stała się coraz bardziej naprężona – pisze Artur Tarnowski – ustaliłem ze śp. Dr Michałem Marczakiem, ostatnim bibliotekarzem dzikowskim, co i jak należy przygotować na ewentualność wojny. (...) Mobilizacja została ogłoszona. Włożyłem mundur i wyjechałem. Nowe obowiązki wojskowe nie pozwalały mi naturalnie działać w Dzikowie. Ósmego września wieczorem dostałem rozkazy do przekazania w Rzeszowie – Stalowej Woli i w Baranowie, co pozwoliło mi na wstąpienie do Dzikowa w ciągu dnia 9-go września. Byłem w domu zaledwie kilkanaście godzin, ale wystarczyło mi to, by spowodować załadowanie na furmanki folwarczne wybranych uprzednio z dr Marczakiem najcenniejszych archiwaliów, ksiąg i obrazów i wywiezienie ich na

odległe od dróg komunikacyjnych leśnictwo. (...) Wiedząc, że mam jechać przez Lwów, by zameldować się w moim dowództwie zabrałem ze sobą do samochodu szereg najcenniejszych przedmiotów, a mianowicie: autoportret Rembrandta, portret Izabeli Austriackiej, żony Krystiana króla duńskiego, malowany przez Jana Gossart, zwanego Mabuse, (...) całą kolekcję miniatur dzikowskich. Poza tym do tej samej skrzyni zostały przeze mnie włożone: „Kronika Kadłubka”, kopia z XV wieku Statutu Wiślickiego, znana pod nazwą „Kodeksu dzikowskiego”, także rękopis „Pana Tadeusza” oraz inne cenne przedmioty jak: karabela i buława Hetmana Tarnowskiego, pergamin podpisany przez Karola V, przyznający Hetmanowi tytuł comesa, tabakierka marszałka S. Małachowskiego, ofiarowana mu przez Fryderyka Augusta z jego miniaturą oraz zegarek, który miał przy sobie ks. Józef, gdy utonął w Elsterze.

Wszystkie te wymienione przedmioty przewiozłem do Lwowa i w nocy z 10-go na 11-go września, nie mogąc samemu złożyć ich w Ossolineum, powierzyłem przyjacielowi rodziny od trzech pokoleń, śp. Mecenasowi M. Bilikowi.

Inną część zbiorów zabezpieczyła Róża Tarnowska, gdy sztab niemiecki opuścił zamek. Udało się замуrować w suchych piwnicach pod zamkiem i w grobowcach pod kościołem najcenniejsze części archiwum i biblioteki. Obrazy i inne zabytki zostały ściągnięte z leśnictwa i przekazane w depozyt do Muzeum Narodowego w Krakowie.

Z notatki, która ukazała się we „Frankfurter Zeitung” w styczniu 1940 r. Artur Tarnowski domyślił się, że skrzynie zdeponowane u mecenasa Bilika we Lwowie, zostały przekazane do Ossolineum, a tam zostały znalezione przez bolszewików.

Pamiętam, że do żony zaraz napisałem kartkę jeniecką mniej więcej tej treści: Pan Tadeusz zdrowy, jest u Ossolińskich, zacny Mikołaj dobrze się nim opiekował, oby dalej Panu Tadeuszowi zdrowie dopisywało. – pisze Artur Tarnowski w artykule. – Od tej pory mało na ten temat z żoną korespondowałem. Dopiero po 22 czerwca 1941 roku, gdy wybuchła wojna niemiecko-rosyjska, zacząłem pisać listy, w którym pełno było o Tadeuszu, Kadłubku, Wiślickim, Izabeli (nazwiska Rembrandta nie używałem, bojąc się by cenzura nie rozszyfrowała), prosząc by jechała do nich, bądź starała się o ich powrót. Rezultatem starań żony, po zajęciu Lwowa, był

powrót miniatur do Dzikowa. Innych rzeczy nie udało się wydostać z Ossolineum. (...) Tak wyglądały sprawy do 3-go sierpnia 1944 roku, to jest do chwili wkroczenia do Dzikowa wojsk Związku Sowieckiego. Żona moja z dziećmi zmuszona była opuścić Dzików. Zabrać z sobą nic nie mogła.

Zbiorami opiekował się wówczas dr Michał Marczak, ale

ciężki musiał być bardzo ten ostatni okres w Dzikowie dla dr Marczaka. Wchodzące wojska sowieckie w jego oczach robiły zniszczenia. Np. siodło i rząd Hetmana Tarnowskiego zniszczone zostały zupełnie. Gdy pierwszy impet minął, zniszczeń więcej nie było, ale za to ustalające się pomału nowe władze w mieście Tarnobrzegu brały co im było potrzebne z mebli do urządzania biur i mieszkań. Kto zajmował się, względnie kto opiekował się pozostawionym w Dzikowie zbiorami po śmierci dr Marczaka – nie wiem.

Po wojnie zbiory przejęły różne instytucje państwowe, do zamku w Łąncucie trafiło ok. 500 eksponatów z Dzikowa, a do Muzeum w Rzeszowie ponad 80. Znikoma tylko część zdeponowana została na zachodzie, sporo jednak zaginęło bez śladu wraz z zagarniętymi przez Sowieców wschodnimi terenami Polski.



Zdzisław hr Tarnowski (ojciec) w kontuszu, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.



Artur hr Tarnowski (syn) w kontuszu, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Jeszcze przed wojną powstał pomysł, aby stworzyć Muzeum i Bibliotekę Tarnowskich, instytucję podobną do Muzeum Czartoryskich w Krakowie, czy Ossolineum we Lwowie, aby zbiory służyły większej części społeczeństwa, niż gdy tworzą część zbiorów prywatnych. Muzeum takie miałoby powstać w dużym mieście, będącym centrum kultury. Jednak wojna przerwała plany. Po wojnie natomiast Artur Tarnowski pragnął zrealizować ten pomysł i przez wiele lat starał się, aby scalić zbiory dzikowskie i zgromadzić je w jednym miejscu w Polsce. Korespondował z prof.

Stanisławem Lorentzem i z innymi osobami, które mogłyby podjąć stosowne decyzje.

To co zostało w moim ręku – pisał – tj. zaledwie miniatury, z radością ofiarowałbym Polsce, gdyby połączone zostały razem z resztą zbiorów dzikowskich i suskich rozproszonych po muzeach, bibliotekach i archiwach polskich i gdyby utworzona z nich została jedna całość np. w Krakowie w Muzeum Narodowym i nazwane po wieczne czasy zbiorami Tarnowskich z Dzikowa i Suchej.

Wszystkie te zabiegi były niestety, bezskuteczne. W 1975 r. Artur Tarnowski stracił wzrok i musiał zaprzestać walki o scalenie zbiorów dzikowskich. Tak więc 108 miniatur z przedwojennego Dzikowa, przywiezionych do Belgii przez jego siostrę, Zofię Potocką, zdecydował się podarować Muzeum Polskiemu w Rapperswilu, w Szwajcarii.

Artur Tarnowski zmarł 19 grudnia 1984 r. w Montrealu. Spadkobiercą stała się wówczas jego żona Róża z Zamoyskich Tarnowska, którą we wszelkich prawnych czynnościach reprezentował najstarszy syn Jan A. Tarnowski. Obydwoje przejęli więc misję odzyskania i scalenia dzikowskich zbiorów. Po zmianach ustrojowych w Polsce w 1990 roku wydawało się, że nadszedł czas, gdy wieloletnia walka o zbiory będzie mogła się zakończyć. Rozmowy Jana A. Tarnowskiego w muzeach, archiwach i bibliotekach doprowadziły do tego, że zostały podpisane umowy depozytowe z wieloma instytucjami (Ossolineum we Wrocławiu – rękopis „Pana Tadeusza”, Biblioteka Narodowa w Warszawie – 4 tysiące starodruków, Biblioteka Jagiellońska – rękopisy dzikowskie). Z podobnymi umowami depozytowymi z Muzeum w Łańcucie oraz w Rzeszowie sprawa okazuje się trudniejsza i decyzje od wielu lat są rozstrzygane sądownie.

W 2003 roku Minister Kultury wyraził zgodę na utworzenie w zamku dzikowskim muzeum. Od 2006 do 2011 trwały prace remontowo-budowlane w zamku, a odzyskiwane eksponaty powoli wracały do nowego Muzeum Tarnowskich w Dzikowie. Po śmierci matki, w 2005 roku, Jan A. Tarnowski dalej walczył o scalenie wszystkich zbiorów w Dzikowie.



Chorągwie Jana i Spytka Tarnowskich pod Grundwaldem w 1410 r.

Zjazd rodzinny i Związek Tarnowskich

Druga Wojna Światowa rozproszyła rodzinę Tarnowskich po całym świecie. W latach 90. po zmianach ustrojowych, kiedy można już było przyjeżdżać do Polski bez ograniczeń, coraz częstsze się stały wielkie zjazdy rodzinne. W 1996 roku, dzięki inicjatywie Jana A. Tarnowskiego, zwanego „Głową” ponad stu członków rodziny Tarnowskich po raz pierwszy od czasów wojny zjechało się do Dzikowa. Wtedy powstał pomysł utworzenia rodzinnego stowarzyszenia czyli Związku Rodu Tarnowskich. Projekt stworzenia związku powierzono mieszkającemu w Ottawie najmłodszemu synowi Artura Tarnowskiego - Pawłowi. Związek został oficjalnie zarejestrowany w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie w 1998 r. Paweł Tarnowski pełnił funkcję prezesa. Jego brat, średni syn Artura Tarnowskiego - Marcin, zajmował się genealogią.

Powstała strona internetowa: www.rod tarnowski.com, pomaga w utrwalaniu i nawiązywaniu kontaktów rodzinnych. Głównymi celami Związku, o czym informuje statut, są m.in.: *utrzymywanie i wzmacnianie więzów rodzinnych, zachowywanie i przekazywanie następnym pokoleniom tradycji, dziedzictwa kulturowego oraz wartości, którym Ród Tarnowskich był zawsze wierny, popieranie i organizowanie działalności dla dobra Rodziny i Polski, pomoc członkom Rodziny w potrzebie, popieranie, stosownie do możliwości finansowych jak i wszelkich innych, wydawania pamiątek rodzinnych o wartości kulturalnej lub historycznej, opiekowanie się dziedzictwem kulturowym, historycznym oraz artystycznym Rodu Tarnowskich herbu Leliwa.*

Związek wydaje Biuletyn, w którym zamieszczane są zarówno informacje historyczno-genealogiczne, jak i współczesne oraz informacje o ważnych wydarzeniach rodzinnych i działalności Związku. Związek otacza opieką młodych przedstawicieli rodu, zdolnym funduje stypendia, organizuje wyjazdy zagraniczne, pobyty w różnych miejscach w celu poznania się, a także opiekuje się seniorami, którzy potrzebują pomocy.

Powodzenie pierwszego zjazdu i 4 lata później następnym razem zbliżenie się znów członków rodziny, potwierdziło że lata wojny, komuny i emigracji nie zniszczyły naszego ducha, i że tak jak dawniej nasi przodkowie, my też, gdziekolwiek żyjemy, gotowi jesteśmy sięgnąć ponownie do gwiazd..

Marcin J. Tarnowski



Zjazd rodu Tarnowskich w Dzikowie w 2003 roku.

Opowieść Marcina Tarnowskiego (1935-2009) o swoim życiu na emigracji, rodzinie i rodzinnych wartościach ukaże się w środę, 11 stycznia 2017 r.

Medgidia, miasto u kresu: Ćwiczenia z pamięci.

Barbara Lekarczyk-Cisek



Proza Cristiana Teodorescu ma urodę wschodnich miniatur - precyzyjnie zarysowanych mikroopowieści, w których za anegdotą skrywa się filozoficzna refleksja. Jako całość są one jednak ćwiczeniami z pamięci, którą w latach pięćdziesiątych skutecznie zacierano. Podobnie jak w Polsce.

Żebracza apokalipsa

Teodorescu przedstawia świat małego miasteczka, które dotyka apokalipsa - wojenna, ale także apokalipsa dwóch totalitaryzmów. Przedstawia ją w jednym z opowiadań na swój specyficzny sposób. Otóż opowiada o dwóch dworcowych żebrakach: Kulawym Prztyczku i ślepym paralityku Marcelu, którzy podzielili między siebie rewir dworca. Wszystko szło zgodnie z umową, kiedy pewnego dnia pojawił się trzeci - „żebrak apokalipsy” - dobrze zbudowany mężczyzna, który podpierając się kulą, defilował wzdłuż wagonów, informując pasażerów o nadchodzącym końcu świata:

Koniec świata puka do drzwi! Ale On, Ten, któremu nie możemy ucałować stóp, aby dostąpić zbawienia, daje wam jeszcze szansę okazania potrzebującym miłosierdzia, mimo wszystkich waszych grzechów!

Dwaj żebracy poczuli się zagrożeni, toteż *spuścili przybłędzie manto, aby zrozumiał, że koniec świata może dla niego nadejść znacznie wcześniej niż dla reszty ludzi.* Jednak nie omieszkali wykorzystać pomysłu i od tej pory także używali argumentu nadchodzącej apokalipsy – każdy na swój sposób.

We wstępie do polskiego wydania książki autor wyjaśnia:

W ciągu zaledwie dekady, którą rozpoczął rok 1938, w Rumunii zmieniło się tak wiele, że nawet świadkowie owych częstokroć katastrofalnych zmian przestali wierzyć, że wydarzyły się one naprawdę, a zaczęli myśleć, że był to jakiś senny koszmar. Wielu z tych, którzy marzyli o powrocie do normalności, trafiło do więzień. Aby dawne czasy zatarły się w zbiorowej pamięci narodu, począwszy od lat pięćdziesiątych, z rozkazu kolejnych władz, historia Rumunii była wielokrotnie pisana na nowo.

Teodorescu przywraca więc pamięć dotyczącą nie tylko narodu, ale czyni to także w odniesieniu do swoich dziadków i świata, w którym dane im było żyć.

Medgidia - rumuńskie Makondo

Skojarzenie Medgidii z fikcyjnym Macondo ze „Stu lat samotności” Marqueza przychodzi na myśl, gdy czyta się te wszystkie opowieści, ponieważ – choć nieodległe w czasie – wydają się jednak należeć już do sfery pewnej mitologii. Takiego miasteczka bowiem, jakie poznajemy na początku tej opowieści, już nie ma. Nie żyją bohaterowie owych historii, a odtworzone realia zmieniły się nie do poznania. Tętniące życiem miasteczko, zamieszkałe przez Rumunów, Żydów, Ormian, Turków, przypomina trochę mityczną Bukowinę.

Oprócz historii swego dziadka – Stefana Teodorescu, zwanego Stefankiem, właściciela dworcowej restauracji, pisarz snuje barwne opowieści o innych mieszkańcach Medgidii: jubilerze Marcelu, który terminował u paryskich mistrzów i który zmuszony został do opuszczenia miasta na fali antysemityzmu, co potem okazało się zbawienne, zważywszy wszystko, co działo się w Europie z Żydami podczas II wojny. Marcel wyjechał do Nowego Jorku, gdzie wkrótce został milionerem. Innym bohaterem jest imam Hassan – prawdziwy mędrzec, którego rady

zasięgają imamowie z całej Turcji i który grywa w szachy ze Stefankiem i z majorem Scipionem – komendantem pułku, mimo że początkowo unika go „z racji jego mało finezyjnego, koszarowego usposobienia”. Śledzimy także zmienne losy bezkompromisowego majora i jego skrywanej, ale wielkiej i odwzajemnionej miłości do żydowskiej lekarki Leili. W miasteczku mieszka nawet jeden Rosjanin – Grigorij, który zajmuje się kowalstwem, bije swoją żonę i ukrywa przeszłość.

Każdy z tych bohaterów to odrębna opowieść, a właściwie cykl miniaturowych opowieści, które wszakże stanowią odrębne, zamknięte dramaturgicznie historie. Jeśli jednak uważnie śledzimy losy bohaterów – a są one tak fascynująco przedstawione, że nie sposób się od nich oderwać – zauważymy, jak się one zmieniają na skutek historycznych wydarzeń. Niektórych historia miażdży bezlitośnie, inni wychodzą z doświadczenia totalitaryzmu (zwłaszcza komunizmu) przemienieni. Ale są i tacy, którzy pozostają jakby nietknięci przez okrucieństwa losu – jak piękna lekarka Leila, mimo że jest Żydówką, osobą niezwykle prawą i bezkompromisową. Ona zresztą także na koniec emigruje. Miasteczko, zarządzane przez przedstawicieli komunistycznego reżimu, szarzeje, brzydnie i przestaje być tętniącym życiem, wielokulturowym tygłem.

Śmiercionośne papryczki Januszka

Teodorescu uwodzi czytelnika nie tylko pasjonującymi opowieściami. Istotne jest także to, że owe cudowne miniatury charakteryzuje specyficzny humor i wszechobecność ironii losu, ale także ironii historii. Dzięki temu każda anegdota zyskuje drugie dno.

Mnie najbardziej urzekła miłosna historia jednej z głównych postaci – kelnera Januszka. Otóż restauracja Stefanka Teodorescu zawdzięczała swoje powodzenie nie tylko atmosferze, którą stwarzał właściciel, ale przede wszystkim obecności kelnera, który przed wojną pracował w Orient Expressie, znał języki i świetnie opanował sztukę przygotowywania i podawania potraw. Marzył o tym, aby otworzyć własną restaurację w Bukareszcie, a może nawet kabaret, jednak ciągle brakowało mu na to pieniędzy. Tymczasem ani się obejrzał, kiedy „stuknęła” mu czterdziestka. Pozostawał w stanie kawalerskim, ponieważ „jako wielbiciel kobiet nie ryzykowałby

zakochania się w którejś z nich”. I oto pewnego dnia spojrzął w oczy młodej dziewczynie, zatrudnionej w kasie na stacji i... stało się. Żeby móc znowu popatrzeć jej w oczy kupił niepotrzebny mu bilet, a potem starał się zawsze być w pobliżu niej i choć robił to nader dyskretnie, dziewczyna zauważyła jego starania. I choć nie było to w zwyczaju, ale obyczaje powoli zaczęły się zmieniać – pozwoliła mu odprowadzać się do domu, a wreszcie gotowa była za niego wyjść. Kiedy jednak przyszedł teść pogodził się z myślą, że córka wyjdzie za mąż za starszego od niej o dwadzieścia lat mężczyznę, Januszek postanowił coś udowodnić kolejarzowi, który stroił sobie żarty z jego związku. Założyli się, że jeżeli Jan zje pięćdziesiąt ostrych papryczek, kolejarz wyjedzie z miasta. Kelner był tak szczęśliwy, że gotów był zjeść dwa razy tyle. Zakład wygrał, po czym... wyzionął ducha.

Teodorescu opisuje nie tylko śmiertelne papryczki. Pisze o rewizjach, fałszowanych wyborach, przesłuchaniach, bezprawnym zabieraniu majątków, zawsze jednak w kontekście ludzkich losów, bohaterów, których – dodajmy – zdążyliśmy już poznać i jakoś się do nich przywiązać. Zawsze towarzyszy temu dyskretny humor, niekiedy czarny, jak w opowiadaniu „Kupiecki kadysz”, w którym inny bohater – Żyd Haiks traci cały towar i majątek, a nawet mieszkanie, ale nie traci poczucia humoru, tylko postanawia porozmawiać ze Stefankiem o kadisz – modlitwie za umarłych, którą powinno się nad nim zaśpiewać trzykrotnie.

Wielowątkową powieść Cristiana Teodorescu można czytać na różne sposoby. Sam autor, z właściwym sobie poczuciem humoru, sugeruje, aby tak właśnie czynić:

... mogą Państwo rozpocząć lekturę w dowolnym miejscu. Najbardziej niecierpliwi mogą czytać od końca do początku. Amatorzy powieści o szybkiej akcji mogą zacząć lekturę od początku i przeskakiwać przez tak zwane rozdziały – wypełniacze, natomiast ci z Państwa, którzy chcą poznać powieść jak powieść, powinni ją przeczytać od początku do końca, nawet jeśli składa się ona z ponad setki opowiadań.

Powieść „Medgidia, miasto u kresu” ukazała się nakładem Wydawnictwa Amaltea, w przekładzie Radosławy Janowskiej-Lascar.

Wywiad z Cristianem Teodorescu ukáže się na Culture Avenue we wtorek, 10

stycznia 2017 r.

<http://kulturaonline.pl/>